Cena numeru pojedynczego kop. 20.

Ogólnego zbioru numer 888, tom 34. – Serya III.

18 (30) września 1876 r.

№ 40. Prenumerata w Warszawie rocznie rs. 8, półrocznie rs. 4, kwartalnie rs. 2, miesięcznie kop. 67 i pół.

Warszawa, 30 września 1876 r.

Prenumerata na prowincyi i w cesarstwie kwartalnie rs. 3.

Tom II.

Treść numeru. Zaloty przy studni (drzeworyt.) — Kronika tygodniowa. — Korespondencya z Krakowa.—Przegląd polityki zagranicznéj. —Luźne listki. — Korespondencya od redakcyi.—Sala odlewów w szkole sztuk pięknych w Paryżu (z drzeworytem).—Przejażdżka po Kurlandyi (z drzeworytem).—Listy z wystawy filadelfijskiéj. — Przegląd teatralny. —Szachy.—Rebus. — Pojedynek szlachetnych, komedya (dalszy ciąg).— Wystawa rolnicza w Szawlach.— Mieszczanie bułgarscy (2 drzeworyty). – Żniwiarka polska (z drzeworytem). —Wystawa powszechna paryzka w 1878 r. (z drzeworytem).—Szewckie dziecko, powieść (dalszy ciąg). —Kopernik jako ekonomista (dalszy ciąg).—Stefan Lawrence, powieść (dalszy ciąg).

Kronika tygodniowa.

Czy przypominacie sobie, czytelnicy, list jednego z naszych prenumeratorów, z podpisem „Ojciec rodziny,“ zamieszczony kilka tygodni temu w naszém piśmie, proponujący utworzenie towarzystwa opieki nad niemowlętami?... Za pismem tém posypały się i inne, mówiące obszérniéj lub krócéj o tym zamiarze; wszystko jednak co one obejmowały, da się wypowiedzieć bardzo zwięzłemi słowy: „założenie projektowanego towarzystwa jest potrzebném.“

Wiemy o tém i w przeświadczeniu że tak jest wistocie, pomieściliśmy ów list, piérwszy w téj kwestyi; ale nie mieliśmy dotąd dokładnego wyobrażenia, jak dalece smutnym jest stan niektórych niemowląt, ile ich ginie skutkiem braku opieki lub obojętności rodzicielskiéj, jak zresztą setki tych nieszczęśliwych istot przepadają bez wieści, lub téż w sposób okropny i przerażający.

Oto jedna z zacnych niewiast odzywa się do nas w te słowa: „Ratujcie biédne niemowlęta, które zbrodnicze matki, za *winę* nieprawego urodzenia, skazują na śmierć, czasami straszliwą.“ Inny znowu korespondent pisze: „Lud pokrywa zbrodnie wyrodnych matek, w przekonaniu że zmarłym dzieciom nic to już nie pomoże, a na skarżących ściągnie przekleństwa winnych.“ W trzecim liście „jedna z matek“ opowiada straszne dzieje niemowlęcego świata, a opowieści te przejmują grozą i boleścią.

Zaloty przy studni. Rysował podług własnego obrazu W. Szerner. 240

Czyż nie godzi się uczynić choć czegośkolwiek w téj sprawie? Jeżeli trudném jest rozciągnięcie opieki w zupełności skutecznéj, to niechże ona przynajmniéj posługuje do wykrywania i ujawniania samych faktów, występków i zbrodni, aby im przykładem zasłużonéj kary na przyszłość zapobiegać. I to już będzie wiele.

Tymczasem powtarzamy raz jeszcze: utworzenie towarzystwa opieki nad niemowlętami potrzebném jest nieodzownie. Słowa nasze zwracamy do zacnych promotorów, którzy zawsze się znajdują tam, gdzie potrzeba działać i rzecz do skutku doprowadzić. Oni je usłyszą.

* *
*

Otrzymaliśmy następujące sprostowanie.

„W życiorysie zasłużonego scenie krajowéj J. Jasińskiego, zamieszczonym w nrze 39 *Tygodnika*, mylnie powiedziano, że ten jubilat, prócz Halpertowéj, jest najstarszym z żyjących dzisiaj emerytów sceny warszawskiéj. Prócz Jasińskiego i Halpertowéj, żyje jeszcze pani Zofia z Brzowskich Kurpińska, wdowa po znakomitym Ludwiku Kurpińskim, która już od lat przeszło 30 jest emerytką, a karyerę sceniczną rozpoczęła jeszcze w dniu 28 października r. 1814, to jest lat temu 62. Debiutowała wtedy w roli Nanetki, w sztuce p. t. „*Szambelan szarmancki*,“ z niezmierném powodzeniem. Jasiński i Halpertowa nie zaliczali się jeszcze wówczas do składu artystów sceny warszawskiéj, na któréj grywali: Bogusławski Wojciech, założyciel teatru polskiego, dziad dzisiejszego reżysera, Żółkowski ojciec, Kudlicz (Werowskiego angażowano dopiéro w roku następnym), Dmuszewski, Zdanowicz; Szczurowski, Nacewicz, Damse Józef, Kracer, z kobiét zaś Ledóchowska, Elsnerowa, Zdanowiczowa. Oto znakomitsi przedstawiciele sceny ówczesnéj, śród których Zofia Brzowska piérwsze stawiała kroki. Między uczniami szkoły dramatycznéj ani Jasińskiego, ani Halpertowéj (Żuczkowskiéj) w roku 1814 jeszcze wtedy nie było. Do składu dyrekcyi ówczesnéj, wespół z Wojciechem Pękalskim, czynnym niezmiernie tłumaczem dla sceny, należał Osiński, jako dyrektor i anteprener. Reżyserami byli Dmuszewski i Kudlicz, dyrektorami zaś muzyki Elsner i Kurpiński. Świetne to były czasy dla sceny co do składu artystycznego, chociaż smutne ze względu na powodzenie, bo ówczesne wypadki i ciągła niepewność do do spraw politycznych, wichrzyły też i losami teatru. Nowych sztuk przedstawiono w ciągu roku 33, z których jednę oryginalną Niemcewicza (Jadwiga), jednę Bogusławskiego Wojciecha, dwie oryginalne, a dziesięć tłumaczonych Żółkowskiego. Kurpiński dał trzy opery, Osiński jednę komedyą, a pracowali też dla sceny i inni autorowie i tłumacze. Ze sztuk 33 ani jedna dzisiaj przedstawianą nie bywa, choć dałoby się tę i owę wznowić, szczególniéj z oper.

Kilka tych wspomnień odświéżam, o ile wiążą się one z imionami, o których zapominać nie należy. Najciekawsza to zresztą epoka bytu sceny krajowéj, która musiała walczyć z tysiącem przeszkód, a mimo to budowała sobie trwałe podwaliny. W roku też 1814, obok sceny warszawskiéj, istniały teatry: w Wilnie, w Mińsku (gdzie zasłynął Werowski), w Żytomiérzu, w Łomży, w Grodnie, we Lwowie pod dyrekcyą J. N. Kamińskiego, gdzie zyskał imię i rozgłos Nowakowski. Przenosiły się też inne trupy z miejsca na miejsce, szukając chciwéj widowisk publiki.

Na zakończenie dodać mi się godzi, że dopiéro po Zofii z Brzowskich Kurpińskiéj najstarszym z emerytów jest żyjący dotąd p. J. Świergocki (nie zaś bezwzględnie najstarszym, jak twierdził Kuryer codzienny w sprostowaniu co do Jasińskiego), który w r. 1815 został uczniem szkoły dramatycznéj ówczesnéj, a niezadługo i debiutował. Po Kurpińskiéj więc i Świergockim, idą dopiéro z kolei Halpertowa i Jasiński.“

T. P.

* * *

Pisma nasze peryodyczne pomieściły już wiadomość, że w końcu roku bieżącego ukazać się ma w ozdobném wydaniu, z rysunkami Gersona, poemat Adama Pługa p. t. *Sroczka, obrazek zaściankowy*, Nigdzie jednak nie znaleźliśmy wzmianki, że sympatyczny ten utwór jeszcze w roku 1867 (tom 16 serya I) drukowany był w naszym Tygodniku. Nadmieniamy o tém nie dla próżnego rozgłosu, lecz jedynie z powodu, że okoliczność ta, zdaniem naszém, w opinii publiczności posłużyć może jako zalecenie rzeczonego poematu. O ile wiemy, autor zamierza „Sroczkę“ własnym wydać nakładem; tém słuszniéj więc należy mu się ze strony ogółu poparcie.

* * *

Zeszłéj soboty na scenie teatru Rozmaitości, po raz piérwszy odegrano komedyą tłumaczoną z francuzkiego Ed. Paillerona, p. t. *Burza w szklance wody*. Sztuka ta w jednym akcie nie ma pretensyi do powagi, ani z treści, ani z formy i rozmiarów, jest jednakże niezmiernie zręcznym tworem wyobraźni, która w przedstawieniu wątka niekoniecznie rządziła się głębszemi zasadami psychologii.

Młoda mężatka daje się wykraść kochankowi (temat to czysto francuzki: wiarołomstwo na porządku dziennym); kochanek ten jest bardzo przyzwoitym salonowcem, bóstwo swoje uwielbia, prawi mu o tém nie széroko i długo, ale w przekonywających wykrzyknikach, i gotów jest naprawdę poświęcić mu swą kawalerską swobodę. Trafia się jednak niespodziéwany wróg szczęścia kochanków, w osobie przyjaciółki owéj mężatki. Dama ta, która w życiu wiele doświadczyła, a z doświadczenia nauczyła się co to jest miłość, stara się w długiéj perswazyi przekonać niewierną małżonkę, że cała ta sprawa jest burzą w szklance wody. Namawia ją tedy do powrotu nie dlatego, iż tak nakazuje zaprzysiężony obowiązek, ale że niewarto poświęcać tylu kłopotów i dobréj sławy, dla rzeczy, będącéj chwilowém tylko złudzeniem. Proza jutra zabije uroki obecne, a lada drobnostka, choćby tylko pryszczyk na nosie kochanka, prozę tę sprowadzić musi.

Perswazye tak głębokie i dowcipne nie przekonywają jednakże zakochanych. Postanawiają oni, bądź co bądź, uciekać daléj, a baronowa odchodzi. Odejście to nie znaczy bynajmniéj, że daje za wygraną... broń Boże. Troskliwa o... rozsądek przyjaciółki, sprowadza na kochanków prozę pod postacią utrudnień i przeszkód w ucieczce, a rzeczywistość rychło ochładza rozmarzony zapał. Zakochana przed chwilą jeszcze para rozczarowywa się wzajemnie i rozchodzi się, a słuchacz, gdy kortyna zapadnie, powiedzieć sobie może w duszy, że jeśli Francuzi nie nazbyt szanują małżeństwo, to zarówno też lekceważą i miłość.

Sztuka p. Paillerona jest mimo to perełką dowcipu i zręczności, a była graną wybornie. Panie Niewiarowska i Popielówna, wespół z panem Tatarkiewiczem, grali ją z przejęciem się wytrawnych wirtuozów, igrających z trudnościami, jak z cackiem. Szczególniéj pan Tatarkiewicz zajmował swobodą pełną werwy, doskonałém pojęciem lekkiego charakteru i cieniowaniem subtelném przejść psychicznych, na których też ciążyła cała ważność jego roli.

* * *

Wyszedł z pod prasy tom czwarty *Dzieł Szajnochy*, zawiérający dokończenie „Szkiców historycznych,“ „Lechicki początek Polski“ i zaczęcie pomnikowéj opowieści z dziejów naszych p. t. „Jadwiga i Jagiełło.“

Byłoby niestosowném rozpisywać się tu o wartości tych prac znakomitego historyografa, boć wartość to uznana powszechnie, a przecież czujemy się w obowiązku przypomnieć tym wszystkim, którzy o tém może zapomnieli, że Szajnocha w dziejopisarstwie naszém zajął stanowisko historyka-poety, że dzieła jego nie są traktatami wyłącznie uczonemi, lecz że, przeciwnie, słowo opowiadań jego tętni życiem barwném, ruchliwém, w obrazach o zarysach pełnych siły i o kolorycie porywającym.

W chwili obecnéj literatura nasza nie posiada znakomitego dziejopisa, nie posiada też i mistrza, któryby, tak jak Szajnocha, umiał żywém słowem do życia zaklinać stare wieki i zamarłe postacie. *Dzieła* więc *Szajnochy* tém bardziéj rozpowszechniać się winny i tém szérsze zyskiwać czytelników koło. Znany to przecie pewnik, iż historya jest mistrzynią życia, a cóż dopiéro historya tak opowiedziana, że daje rysy pełne, skończone, owiane duchem wieków i ludzi, do których się odnosi.

* * *

Pan Adolf Bogucki, czynny propagator jedwabnictwa, jeździ obecnie po miastach prowincyonalnych, gdzie wygłasza popularne odczyty o hodowli jedwabników i produkcyi jedwabiu. W Bendzinie, Częstochowie, Piotrkowie, Noworadomsku, Brzezinach, Łodzi i Łasku liczni słuchacze z uwagą przysłuchiwali się słowom prelegenta, który, przyznać trzeba, obrał najodpowiedniejszy sposób obeznawania ogółu ze swoim przedmiotem, posługując się zarazem i przywożonemi ze sobą okazami.

Tak troskliwie zasiéwane ziarno koniecznie w przyszłości jakiś plon przynieść musi. Niepodobna przypuścić, aby z setki słuchaczów Brzezin lub Łasku nie znalazł się ktoś, któryby zapragnął popróbować szczęścia co do hodowli jedwabników, gdy istotnie nie jest ona ani trudną, ani kosztowną. Że zaś stałoby się to zachęcającym przykładem dla innych, to rzecz pewna, bo produkcya kokonów, przy pewnéj staranności, zawieść nie może, a zyski z niéj osiągane bywają wcale ponętne.

* * *

W programie szkół średnich mają obecnie znaléźć pomieszczenie dwa ważne przedmioty, to jest wykład języków nowożytnych i higieny.

Co do języków nowożytnych, których nauka do chwili obecnéj była tylko dodatkową, nie przypuszczamy aby znajomość ich dostateczną młodzież mogła wynosić z gimnazyum, jeżeli lekcye tych przedmiotów odbywać się będą tak, jak to bywało dotychczas. Gdzie jest kilkudziesięciu uczniów w klasie, tam nauczanie języka bardzo jest utrudnioném, a praktyczne jego nabycie niemożliwém. O ile też słychać, wykład języków nowożytnych ma się odbywać w godzinach dodatkowych, a w części i trybem odmiennym, niż dotąd. Lekcye nie będą się ograniczały do suchego tłumaczenia prawideł gramatycznych, lecz staną się także kursami praktycznemi przez wprawę w mówieniu.

Drugi nabytek szkolny, higiena, będzie korzystnym nie już dla samych tylko uczniów, ale w następstwie i dla społeczeństwa, które o higienie racyonalnéj ma zaledwo pojęcia jaknajelementarniejsze, a w większéj części nie posiada ich wcale. Wykład higieny zresztą u nas tylko będzie nowością, za granicą bowiem prawie we wszystkich szkołach, nawet niższych, oddawna istnieje. Za granicą jednakże istnieje i cóś więcéj: oto gimnastyka w zakładach szkolnych, która u nas przed laty sposobem jedynie próby w szkołach zaprowadzoną została. A przecież, jeżeli teorya higieny niéma być pod pewnym względem fałszem, to dopełniać ją powinna praktyka gimnastyczna, któréj znaczenie higienicznie jest piérwszorzędne.

KORESPONDENCYA TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO.

Kraków, w połowie września.

W mieście naszém więcéj znowu jest ruchu i życia; wakacye się skończyły, a z rozpoczęciem nowego roku szkolnego, napłynęła do miasta młodzież, za nią zaś podążyło także i wielu starszych, powołanych obowiązkami bądź nauczycielskiemi, bądź rodzicielskiemi. Tylko uniwersytet i instytut techniczny, który, jak pisałem poprzednio, przemienia się od października w wyższą szkołę przemysłową, mają jeszcze wakacye. Również i w akademii umiejętności posiedzenia wydziałów i ko-

misyj rozpoczynają się dopiéro od przyszłego miesiąca. Tymczasem świat nasz naukowy nie próżnuje jednak, chociaż za murami Krakowa jedni, jak prezes akademii dr. Majer i dr. Estreicher, przebywają w Szczawnicy, aby objąć ją w posiadanie w imieniu akademii, inni znów zasiadają na kongresie antropologiczno-archeologicznym w Peszcie.

Jest-to z kolei ósmy tego rodzaju międzynarodowy kongres, otwarty 4 b. m. Z dziedziny archeologii polskiéj posłały tam wybór swoich okazów muzeum akademii umiejętności w Krakowie, gabinet archeologiczny uniwersytetu Jagiellońskiego, urosły w krótkim czasie, dzięki niestrudzonéj zabiegliwości i pieczołowitości p. Łepkowskiego; daléj zbiory ks. Władysława Czartoryskiego, p. p. Jana Zawiszy, Bol. Podczaszyńskiego, Beyera, Szumskiego i Karola Rogawskiego. Poznań i Lwów, czego pochwalić nie można, nic nie nadesłały; mimo to utworzyła się całość, wprawdzie nie imponująca liczbą i rozmiarami, ale odznaczająca się doborem i rzadkością przedmiotów, tak iż zdołała obudzić powszechne zajęcie między zgromadzonymi archeologami.

Innego rodzaju wystawę ma obecnie Kraków w swoich murach; znaczenie jéj wprawdzie skromniejsze nierównie, ale niemniéj powinna ona nas obchodzić. Jest-to wystawa szkoły koszykarskiéj, otwarta 11 b. m., w sali ogrodu Strzeleckiego. Szkoła koszykarska istnieje w naszych okolicach od lat dwóch, a piérwszy swój początek zawdzięcza staraniu i inicyatywie tutejszego adwokata dra Machalskiego. Na wystawie tegorocznéj, która, jeśli się nie mylę, jest piérwszą z porządku, znajdują się roboty uczniów, pochodzących z jedenastu wsi z okolic Krakowa; kształcili się oni niegdyś pod kierunkiem nauczyciela sprowadzonego przez rząd z Bawaryi, a dzisiaj mogą już pracować samoistnie. W liczbie około stu przedmiotów wystawionych, są wielkie kosze złocone na kwiaty, koszyki i koszyczki ręczne, kobiałki i opałki różnego kształtu i na rozmaite cele, bądź barwy naturalnéj, bądź malowane i wyrabiane z rozmaitego materyału: z sitowia, włókna, kory i t. p. Wspominam o téj wystawie tém skwapliwiéj, że pocieszającym jest każdy objaw budzącego się przemysłu u nas, gdzie go tak mało wogóle, a najmniéj pomiędzy ludem, do którego błędów i słabych stron należy jeszcze dotychczas niezbyt wielka pilność i jakaś dziwna nieporadność w wynalezieniu sobie środków utrzymania. Lud nasz cierpi nieraz nędzę nietylko z tego powodu, że mu się nie chce pracować, ale i dlatego, że nie wié do czego się zabrać.

Grano tutaj w tych czasach nową sztukę p. Bałuckiego, „Teatr amatorski.“ Treścią jéj jest proste wydarzenie, dość często w towarzyskiém życiu się wydarzające. Sztuka ta nie rości sobie najmniejszéj pretensyi, aby być komedyą naprawdę, niéma w niéj cienia jakiéjś tendencyi, niéma i charakterów, bo żadna z jéj figur nie jest wybitniejszą i typową, ale w tym szczupłym zakresie, jaki sobie autor dobrowolnie obrał, cała rzecz toczy się tak gładko, zręcznie i zabawnie od początku do końca, że ta najnowsza praca p. Bałuckiego staje się dla wszystkich co ją widzą miłą i sympatyczną.

Zapewne lwowski korespondent nie omieszka wam donieść o komisyi utworzonéj przez hr. Jana Al. Fredrę do przejrzenia i uporządkowania rękopisów po ś. p. jego ojcu pozostałych; tutaj wspominam o niéj z tego tylko powodu, że z Krakowa powołani są do téj komisyi pp. Koźmian Stan. i hr. Tarnowski Stan. Do dziś dnia niéma jeszcze żadnéj pewnéj wieści ani o wartości pozostałych komedyj, ani nawet o ich liczbie; słychać tylko, że podobno należą one przeważnie do tak zwanych kontuszowych komedyj.

Temi dniami zmarli tutaj: Sylwian Stattler, najmłodszy z braci malarza, tudzież adwokat Leon Korecki. Ten ostatni redagował we Lwowie w r. 1848 czasopismo „Postęp“ i brał czynny udział w ówczesnych wydarzeniach. Uwolniony od kary śmierci, na którą był skazany, w trudném znalazł się poźniéj położeniu i kiedy przyciśnięty potrzebą, udał się z prośbą o udzielenie jakiegoś miejsca do swego dawnego kolegi, wtedy ministra w Wiedniu, minister dał mu na to nader charakterystyczną odpowiedź: „Mój kochany, miałeś i tak być powieszony, cóż ci szkodzi, że umrzesz z głodu?“

Z książek, jakie tutaj się pojawiły, zapisać potrzeba nowy zabytek staropolskiego języka, wydany przez dra Wł. Wisłockiego p. t. „Glossa super epistolas per annum dominicales, kodeks łacińsko-polski z połowy XV wieku.“ Rękopis tego zabytku znajduje się w bibliotece zakładu Ossolińskich we Lwowie, dokąd dostał się, jako dar, od spadkobierców Józefa Dzierzkowskiego. Kodeks zawiéra niektóre wyjątki z Listów apostolskich, tudzież z proroctwa Jeremiasza i z Dziejów apostolskich w języku łacińskim, wraz z polskiém ich tłumaczeniem, dokonaném na sposób glossów, a zatém niezupełném.

Przegląd polityki zagranicznéj.

29 września.

Dzienniki i depesze zagraniczne głoszą na przemiany to pokój, to wojnę, tak iż z trudnością coś stanowczego w tym względzie wywróżyć można. W gruncie rzeczy dziwić się temu niepodobna, niéma bowiem kwestyi trudniejszéj do rozwiązania, nad kwestyą wschodnią. Od chwili jak postanowiono utrzymać nadal państwo tureckie, układy pokojowe zależą nietylko od zgody mocarstw, lecz i od biegu wypadków, jakie zajść mogą na widowni wojny. W rzeczy saméj, już dziś dyplomacya napotyka różne niespodziane przeszkody. Tak na przykład, gdy w d. 25 b. m. posłowie Anglii i Włoch zawiadomili ks Milana, że Porta przedłużyła rozejm do d. 2 października włącznie, książę odpowiedział, że taki nieokreślony rozejm korzystnym jest dla Turków a uciążliwym dla Serbów, że zatém rząd serbski naradzi się dopiéro nad przyjęciem go, lub odrzuceniem. Wprawdzie Debaty paryzkie odebrały telegram, donoszący o poleceniu wydaném Czerniajewowi, aby do 2 października powstrzymał się od działań wojennych, lecz żaden z telegramów serbskich nie potwierdził téj wiadomości. Tak więc chwilowo nie wiemy istotnie, czy biją się nad Morawą, czy nie, choć prawdopodobnie lada chwila telegram zawiadomi nas o rozejmie.

Zdaniem gazet zagranicznych, mocarstwa zgodzić się miały *w zasadzie* na program ułożony przez gabinet angielski. Warunki pokoju są *podobno* następujące: 1°) utrzymanie status quo w Serbii; 2°) ustąpienie portu nad Adryatykiem przez Turcyą na rzecz Czarnogórza; 3°) autonomiczne reformy w Bośnii i Hercegowinie, a według niektórych i w Bulgaryi. Program ten złożonym już został rządowi tureckiemu przez ambasadora angielskiego, a telegram z Wiednia z d. 26 b. m. dodaje, że w dniu tym ambasadorowie innych mocarstw udali się do Porty, celem poparcia programu angielskiego. Rzecz oczywista, że Porta wynajdywać będzie najrozmaitsze powody i powodziki do targów dyplomatycznych, wątpimy wszakże aby to udać się jéj mogło, wobec jednomyślnych życzeń mocarstw. W każdym razie ciekawa to rzecz, owe autonomiczne reformy w prowincyach słowiańsko-tureckich. Jeżeli na czele administracyi pozostawią Turków, to wartość reform równać się będzie zeru, jeżeli zaś postawią chrześcian, Turcy burzyć się nie przestaną. Najbardziéj interesowane w téj sprawie Austro-Węgry podejrzliwie śledzą każdy krok Serbów, z obawy aby silne państwo słowiańsko-serbskie nie zaszkodziło bezpieczeństwu Węgier. Polit. Coresp. z d. 26 powiada na przykład, że Austro-Węgry nigdy nie uznają tytułu królewskiego, nadanego w ostatnich czasach ks. Milanowi przez armią i część narodu serbskiego.

W ogólności manifestacya armii serbskiéj podniesioną została do wysokości faktu politycznego. Książę Milan nie przyjął tytułu królewskiego, lecz w ślad za armią poszedł także wydział nieustający skupczyny. Tym sposobem armia, część skupczyny i duchowieństwo oświadczają się za wskrzeszeniem królestwa serbskiego, a jeżeli cała skupczyna uchwali je i uprawni, to cóż wtedy pocznie ks. Milan? Co wreszcie uczynią mocarstwa? Jak widziémy, zadanie to niełatwe do rozwiązania i wyrodzić z siebie może szereg licznych, a drażliwych układów dyplomatycznych.

Bądź co bądź, układy z Portą toczą się bez przerwy, pochłaniając całą uwagę świata. Wobec palącéj kwestyi Wschodu, wszystkie inne sprawy bledną rzeczywiście i nie zasługują na obszérniejszą wzmiankę. Czy gabinet obecny utrzyma się w Londynie, które ze stronnictw ma słuszność za sobą we Francyi i t. p., wszystko to nader drobne sprawy, wobec kwestyi zapewnienia lepszego losu chrześcianom na Wschodzie. Pozostaje więc tylko do życzenia, aby układy dyplomatyczne przyczyniły się jaknajprędzéj do powstrzymania żywiołu tureckiego od okrucieństw i rozpasania, oraz do pomyślnego urządzenia formy przyszłego bytu Słowian południowych.

Telegramy. *Belgrad, 27 września.* Rząd serbski dał wczoraj *odmowną* odpowiedź na propozycyą rozejmu. Rząd oświadcza, że Serbia dałaby zezwolenie na dłuższe zawieszenie broni, lecz na ośmiodniowy rozejm, bez linii demarkacyjnéj, zgodzić się nie może.

Belgrad, 27 września. Wczoraj była utarczka między Aleksinaczem i Deligradem. Spalone zostały dwa mosty tureckie; Turcy uderzyli na Mały Zwornik. Dowództwo nad legionem Mac-Iwera oddano oficerowi rossyjskiemu.

Konstantynopol, 27 września. Porta gotową jest do udzielenia wszystkich reform i zgadza się na utworzenie w tym celu rady narodowéj, złożonéj z 30 chrześcian i 30 mahometan.

Wissenburg, 27 września. Cesarz niemiecki, w rozmowie ze szlachtą w Stutgardzie, oświadczył: Cieszy mnie to, iż mogę miéć nadzieję, że pokój jest zapewnionym. Zdaje się że wynaleziono podstawę dla polityki wielkich mocarstw i że to doprowadzi do zamierzonego celu.

(Ind. Bel. Sch. Ztg. Jour. des Deb. Nord. Times).

Luźne listki.

Piękność ciała więdnie szybko, ale piękność duszy i charakteru nabiéra jeszcze z wiekiem powabu i uroku. *Karpiński.*

Książki wprowadzają nas w najlepsze towarzystwo i zapoznają nas z największemi, dawniéj żyjącemi umysłami. *S. Smiles.*

Dobre książki są najlepszém towarzystwem i pod pewnym względem ochroną przeciw złemu otoczeniu, bo uszlachetniają naszę myśl i nasze dążności. *S. Smiles*

Pomysłowość własna jest rzeczą piękną; ale czyż nie nazwiesz swoją własnością i tego, co przez innych szczęśliwie pomyślaném zostało, poznawszy i oceniwszy to dobrze? *Goethe.*

Kto prawdę głosi z zażartą miną i gniewliwemi słowy, ten prawdy nie zna. *H. Martin.*

Każdy z nas o tyle jest uboższy, o ile nienawidzi, — o tyle bogatszy, o ile kocha. *Kremer.*

KORESPONDENCYA OD REDAKCYI.

Pani Maryi Fil. Odpowiedzieć nie mogliśmy piśmiennie, ponieważ w obu listach pani nie było wskazanego jéj adresu. Objaśniamy jednak, iż na wystawę Muzeum przemysłowego roboty szydełkowe przyjmowane nie będą.

Pani M. Cz. w gub. podolskiéj. Dziś takie nastały czasy, że nieraz synowie znieważają ojców, dających im napomnienia. Wolimy więc wyrzec się téj roli poważnéj, którą nam pani przeznacza.

Panu. B. S. w Dorpacie. Nadsyłanych nam pomniejszych materyałów, czy to rysunkowych, czy literackich, nie zwracamy, jak ogłaszaliśmy o tém wielokrotnie.

Wnętrze szkoły sztuk pięknych w Paryżu. Nowa sala odlewów rzeźbiarskich.

Sala odlewów

w paryzkiéj Szkole sztuk pięknych.

Szkoła narodowa sztuk pięknych, istniejąca w Paryżu przy ulicy Bonaparte, przyozdobioną została niedawno wielką salą, a raczéj galeryą oszkloną, w któréj mieszczą się odlewy gipsowe znakomitszych utworów rzeźbiarstwa starożytnego i nowożytnego.

Wspaniała ta sala tworzy obecnie punkt środkowy całego gmachu Szkoły sztuk pięknych, w którym od lat trzydziestu hojność rządu i osób prywatnych najcenniejsze gromadzi materyały, lecz którego ostateczne urządzenie stopniowo tylko i zwolna może być przeprowadzaném, jeżeli odpowiedzieć ma w zupełności swojemu celowi.

Obfite światło, padające przez śmiało sklepione przykrycie szklane tego przybytku sztuki i nauki, uwydatnia bogatą i wykwintną ornamentacyą, którą młody budowniczy Coquart ściany sali dokoła przyozdobił, a zarazem snopami rzęsistemi odbija od białego tła ustawionych w niéj posągów. Olbrzymie to atrium, obejmujące w wybornych kopiach, w całym ich majestacie i pięknie, kolumny doryckie Partenonu, obok kolumn korynckich forum rzymskiego, przeciwstawia tym sposobem wytworną prostotę Greków, zbytkowéj wspaniałości budownictwa Rzymian.

Wokoło owych kolumn potężnych, w umiejętnym układzie, ugrupowano wszystkie bogi i boginie, fauny i nimfy, wszystkich bohatérów i atletów świata poezyi i rojeń heleńskich lub italskich.

Takiego zbioru odlewów gipsowych, pod względem zarówno ich liczby, jak doskonałości wykonania, nie posiada, śmiało powiedzieć to można, żadne muzeum europejskie.

Główna zasługa w urządzeniu téj wspaniałéj świątyni rzeźby, oprócz wzmiankowanemu już wyżéj budowniczemu, p. Coquart, należy się p. Desachy, który zapełniające salę olbrzymie reprodukcye dzieł sztuki starożytnéj i nowożytnéj z niesłychaną wykonał ścisłością.

Przejażdżka po Kurlandyi,

odbyta w r. 1873.

Skréślił Ścisław S.

(*Dokończenie*).

Mitawa, po łotysku Jelgawa, po litewsku Nitawa (nietwoja), ma schludne, czyste, choć krzywe źle brukowane ulice; domy to drewniane, to murowane, przeważnie niesymetryczne, ale porządnie utrzymane; ztąd miłe na przybyszu sprawia wrażenie. Mały bardzo ruch czyni ją raczéj do wsi, niż do miasta podobną; żyją też tu po wiejsku mieszkańcy, jakby w małéj rodzinie. Z gmachów parę kościołów, gimnazyum, stary ratusz. Towarzystwo kredytowe różnią się nieco od innych, ale że niczém szczególném się nie odznaczają, mówić o nich obszérniéj nie będę. Władze sejmowe mają swe siedlisko w zamku mitawskim, z którym łączą się do pewnego stopnia dzieje miasta całego, przejdźmy zatém i my do niego. Obecnie łatwo się z miasta w każdéj porze roku dostać do zamku, wygodny bowiem most, „zielonym“ zwany, daléj wysypana wysoko grobla, a wreszcie na zniszczonych wałach założony ogród spacerowy prowadzą do niego. Jest-to piękny dwupiętrowy budynek, tworzący trzy boki kwadratu, którego czwartą stronę zejmuje inny, mieszczący w sobie stajnie i remizy. Zbudowany w stylu odrodzenia, ozdobiony gzymsowaniami, majestatycznie rozsiadł się w zatoce rzek Aa i Driny, frontem zwrócony ku Rydze. A ile to w tych murach rozegrało się różnych dramatów! Doprawdy, patrząc teraz na tę spokojną zamku fizyognomią, na niezakłócone, chyba wietrzykiem lub świstem parowca, otoczenie, anibyś się domyślił tragicznych scen tutaj odgrywanych. Poznajmy się z nim nieco bliżéj.

Oto najprzód pierwotny założyciel tego gmachu, książę Jan von Biron, ten wzór satrapy wieków nowożytnych, tyran dumny i mściwy wysadzić kazał w powietrze stare rycerzy mieczowych zamczysko, a na miejscu jego w r. 1738 położył kamień węgielny innéj, w stylu włoskim wznieść się mającéj budowy. Po śmierci Birona w r. 1772 dzieło jego różne przechodziło koleje. Po parę razy palony, przerabiany, restaurowany, zamek dopiéro, wskutek polecenia cesarza Aleksandra II, odnowiony został w całéj swéj rozciągłości przez architekta Scheela z Rygi w roku 1857.

Kiedy z upadkiem Polski Kurlandya przeszła pod panowanie Rossyi, zamek zamieszkał gubernator, część zaś znaczną urządzono na koszary. W r. 1798 przerobiono podruinowany nieco gmach naprędce, w celu pomieszczenia w nim znakomitych gości, w osobie Ludwika XVIII (księcia Prowancyi), oraz znanego z cnót abbé Edgeworth, spowiednika ściętego monarchy Francyi i jego rodziny. Późniéj nieco przybyła również „madame royale,“ córka Maryi Antoniny i Ludwika XVI, któréj zaślubiny z księciem Angoulême tu się odbyły. Roku 1800 w styczniu potomkowie królów Francyi wyjechali do Warszawy, jednak już w r. 1805 powtórnie zamieszkali zamek mitawski i w nim aż do wyjazdu do Anglii w połowie lata 1807 r. pozostali. Błogo wówczas było staremu zamkowi i sądził że zawsze tak mu będzie. Ale stary pieszczoch olbrzymiego doznał zawodu. Uleciały ciepłych stron ptaszki, znikły kobiéty, przepadły króle, a opustoszałe mury rozbudził straszny huragan wiejący przez Europę, który jednak w rezultacie przyczynił się do posunięcia naprzód cywilizacyi najechanych ludów. Mówię tu o r. 1812. Mitawę odwiédzili Prusacy, sojusznicy Francyi, a w pięknym tym gmachu urządzono szpitale wojskowe. Bolesne westchnienia konających, gwar żołnierzy napełniały wtedy wnętrze zamku. Lecz i to wreszcie minęło. Przebrzmiały echa trąb wojennych, a zamek, częściowo restaurowany, przybrał teraźniejsze swe kształty i wszystkie władze gubernialne pomieścił w swych murach.

W przeszłości swojéj tak miasto samo, jak i zamki które tu stały, krwawych chwil mieszczą pamiątki. Początek tutejszego grodu stanowi w r. 1265 przez mistrza Konrada von Mandern założone zamczysko, w celach łatwiejszego odpiérania napadów Łotyszów i Litwinów. Obok zamczyska obronnego, powstało miasto. Inflanccy kronikarze z r. 1345 zwą takowe już swém przedmurzem, a w r. 1435 wspominają o niém, jako o mieście mającém własne sądy i urzędy.

W XVII wieku ciężkie spadły na mieszkańców Mitawy i zamku chwile, bo r. 1621 zdobył takowe Gustaw Adolf i miasto na straszny wystawił rabunek. W następnym roku zajął je książę Radziwiłł, po nim zaś 1625 r. Gustaw Adolf. Po altmarskim pokoju odzyskuje Mitawę książę kurlandzki Fryderyk, a książę Jakub dotąd tylko murem i fosą opatrzony gród, palisadami i wałami wysokiemi umacnia. W drugiéj połowie tegoż stulecia mądry książę, dążący do utrzymania swéj niezależności między północnemi mocarstwy, zmienia Mitawę na miejsce konferencyj dyplomatycznych Rossyi, Polski, Szwecyi, Danii i Anglii, za co popada w niełaskę Karola X i podstępem wzięty w niewolę, 1658 r. najprzód w Rydze, a następnie w Iwangrodzie trzymany jest w niewoli, aż do pokoju zawartego w Oliwie 23 kwietnia 1660 r. Najwięcéj przepychu i książęcego blasku rozwinął w tych starych rycerskich murach książę Fryderyk Kaźmirz. Trzymał on na swym dworze włoską operę, francuzką orkiestrę i wspaniałe konie. Roku 1697 przyjmował przejeżdżającego za granicę Piotra Wielkiego. Karol XII nawiédzał także to rycerskie obozowisko r. 1701. Następnie z różném szczęściem przechodziło takowe z rąk Szwedów do Rossyan i napowrót. Wreszcie zamieszkała tu księżna Anna, wdowa po Fryderyku Wilhelmie, parę miesięcy z nim ledwie przeżywszy. Otaczała ją wielka liczba konkurentów, między którymi cieszył się powodzeniem książę Maurycy saski; ale prześladowany przez Menszykowa, w rezultacie stracił łaskę; księżna została cesarzową, a Kurlandya przeszła pod rządy historycznego byłego marszałka dworu księżny—Birona.

Ale dość już o przeszłości Mitawy i jéj zamku. Z niéj, podobnie jak z dziejów Kurlandyi saméj, nauczyć się można tego, że każde społeczeństwo, czy nawet narody całe, nie z ideałów, nie z urojeń, ale z rzeczywistości, z gruntu realnego na którym stoją wyprowadzać winny swoje czyny, swoję pracę społeczną. Tak robili i robią Niemcy kurlandzcy, a nawet tameczni Łotysze. Łotysze, pobici przez niemieckich rycerzy, ulegli przemocy silniejszego i w pracowników nowych swych panów zamienieni zostali. Pod względem przeto politycznym znaczenie ich jest żadne, lecz w pracy społecznéj są siłą roboczą Niemców.

Zwolna karta dziejów się odwraca: z narodu niezależnego Kurlandczycy przechodzą na wasali Polski, a wreszcie na prostych poddanych Rossyi. Cóż wtedy robią? Oto, lubo wiele ucierpiała ich duma na utracie udzielności, jednak godzą się z biegiem dziejów i z nowego swojego stanowiska postanawiają jaknajwiększe wyciągnąć korzyści. I to im się udaje. Szlachta kurlandzka, jak już powiedziałem, zyskuje sobie prawo reprezentacyi, przez co *de facto* rządzi swą prowincyą. Mieszczanie pracą i skrzętnością gromadzą kapitały, a wszyscy razem kształcą się usilnie. Uposażeni zasobami umysłu i kapitału, rzucają się na różnego rodzaju spekulacye w Rossyi całéj, mianując się pionierami postępu; w saméj rzeczy zaś dobrze wprawdzie robią swemi przedsiębierstwami téj bogatéj w dary natury ziemi, ale najlepiéj robią sobie. Z obfitym plonem wracają na zagon rodzinny, by część jego znaczną tutaj pozostawić, a z resztą wyprawić znów swoje dzieci do dalszych stron cesarstwa, po nowe żniwo.

Cóż za różnica między położeniem Kurlandyi a naszém! Tu rzeczywistość w myśli i czynie; u nas zaś chwiejność w pojęciach i działaniach. Czas abyśmy stanęli silnie na gruncie obecnego naszego położenia, z niego wyprowadzając nić dalszego życia i środkami jakiemi rozporządzamy budując gmach przyszłości. Mam nadzieję że tak będzie; tymczasem zaś żegnam Kurlandyą i śpieszę na nowe wędrówki, a co mnie w nich spotka, co tam spostrzegę, z tém nie omieszkam podzielić się z publicznością. Do zobaczenia przeto, szanowni czytelnicy.

Listy z wystawy filadelfijskiéj,

Sygurda Wiśniowskiego.

VII.

Wystawa krajowa.

Niełatwe było to zadanie, by w labiryncie wystawy odszukiwać swojskie, nieliczne, w siedmiu pałacach rozstrzelone okazy. Nawet zapomocą dopiéro w połowie sierpnia wydanego katalogu sekcyi rossyjskiéj wystawy powszechnéj nie mogłem odszukać niejednego przedmiotu, przysłanego przez przemysłowców rodaków, wśród chaosu niedokładnie numerowanych wyrobów, umieszczonych *pêle-mêle* w szafach wspaniałych, które obejmowały zbiorową wystawę przedmiotów do jednakowych grup należących, bez względu na ich pochodzenie. Rozkład ten, może czasem mniéj korzystny dla jednostek wystawiających, miał jednak niepospolitą zaletę, gdyż każdy cudzoziemiec mógł jednym rzutem oka, w jednéj szafie, ogarnąć ogół tegoż gatunku okazów, przysłanych z całego cesarstwa rossyjskiego, i korzystne powziąć wyobrażenie o produkcyi całego państwa w każdéj gałęzi przemysłu. Poszukiwanie więc rzeczy które mnie bardziéj niż inne w tych zbiorach obchodziły, wymagało wiele czasu i fatygi.

Pomimo atoli trudów fizycznych i rozczarowań, połączonych z gonitwą za niemi, praca ta miała

przyjemną swoję stronę. Widok najmniéj nawet pokaźnéj drobnostki, skoro znanych mi osób i miast nazwiska na niéj wyczytałem, chwytał dziwnie za serce. Zdawało mi się wtedy, jakbym za morzami spotykał dobrego znajomego, lub ujrzał cząstkę rodzinnéj ziemi.

Lecz jeśli trudném bywało odszukiwanie rodzimych okazów, trudniéj jeszcze przychodziło obejrzéć je gruntownie, ocenić, lub z zagranicznemi, do téjże kategoryi należącemi, porównać. Wyobraźcie sobie wystawę wielkiego cesarstwa, rozdzieloną w siedmiu pałacach, a raczéj labiryntach, i rozklasyfikowaną na siedem działów i grup kilkadziesiąt. Najliczniejszy dział wyrobów rękodzielniczych mieści się w tak zwanym *Main-Building* (pałacu głównym). Od wschodu graniczy z Austryą, od północy z Anglią, a z Turcyą od zachodu. Iskrząc od austryackiéj strony przecudnemi malachitami Gruenwalda, od angielskiéj bronzami Chopina i arcydziełami z pod dłuta i młota Izakowa, którego srébra konkurują o palmę piérwszeństwa z najlepszemi amerykańskiemi i angielskiemi wyrobami; odgradzając się pogardliwie od tureckiéj strony ścianą okrytą mapami, litografiami i szeregiem szaf niepokaźnych, rozlega się ów czworobok wystawy, w którym wypada naszych szukać okazów. Podróż do nich wiedzie przez szpalery ze stołów malachitowych, z lapis lazuli i awanturynu; pomiędzy trofeami cennych kruszców, stokroć cenniejszych, od chwili gdy ręka mistrza w dzieła sztuki je zamieniła; pomiędzy szafami pełnemi futer, jakie tylko na barkach książąt lub milionerów widujemy; po za wystawą wreszcie mebli, fantastycznie z jelenich rogów zbudowanych, i po za kotarami z makat złotem dziérganych i atłasów mających odziać archimandrytów. Podróż ta tak bywa długą, tak często kusi do przystanków, że niewielu cudzoziemców posiada dostateczną wytrwałość, by dotrzéć do środka rossyjskiego czworoboku, gdzie mniéj świetne, a bardziéj utylitarne rzeczy się znajdują. Pomimo więc ścisku dokoła szaf frontowych, w głębi rossyjskiéj wystawy panuje zwykle cisza. Echo kroków rzadkiego gościa nieczęsto odbija się o szafy i ściany, noszące nie dla wszystkich zrozumiały napis: *Варшава, Warsaw.*

Kogo poczucie obowiązku lub reporterskie względy zagnają do téj idylicznie głuchéj przystani, musi najpiérw odszukać w sporym tomie katalogowym angielsko-rossyjskim imiona żywiéj go obchodzące. Znalazłszy je i wypisawszy numera im przynależne, wypada gonić za rzeczami temiż numerami oznaczonemi po rozmaitych alejach czworoboku, przebywając próby cierpliwości niemniéj dotkliwe, jak owego szlachcica, którego losy opisał Syrokomla. Gdyby, używając znanego porównania, wypadało komu szukać igły w kopie siana, uczułby może cząstkę męki, z jaką ja szukałem kilku interesujących mnie okazów wśród mnóstwa innych.

Przy każdym odkrytym fancie, wołałem, jak Archimedes nowy, *eureka!* — lecz doznawałem rozczarowania, gdy przyszło bliżéj przypatrzyć się memu odkryciu. Pamiętam na przykład jak mnie ucieszył widok szafy z napisem: Weigt, Warszawa. Były w niéj lśniące cylindry i stosowane kapelusze, kapiące złotemi galonami, były czapki rozmaite, jakby każdy pułk, każde plemię, od Wisły, do Amuru, przysłało tam próbki swych fantastycznych okryć głowy. Myślę: cóż u licha, czyżby pan Weigt zdobił czupryny całéj wschodniéj Europy i pół Azyi? Wnet jednak przekonałem się, że szafa ta mieści, oprócz przysyłki p. Weigta, zbiorową wystawę kapeluszników całego cesarstwa. Ugrupowano w niéj z wielkim gustem cylindry i praktyczne pudełka do chronienia ich w podróży, roboty Weigta, wespół z marsowemi i cywilnemi okryciami głowy z innych fabryk, tak iż główna ozdoba warszawskiego dandysa fraternizuje tam z generalską kitą i azyatyckim kołpakiem.

Sposób ten zbiorowego grupowania téjże saméj klasy wyrobów rękodzielniczych, lub płodów rolniczych, powtórzono i w innych pałacach. Trofea z głów cukru, woreczków zboża lub butelek z wódkami spiętrzono symetrycznie w szafach z brunatnego orzecha o złotych napisach, albo na olbrzymich stalugach. Podobały się te zbiorowe wystawy wszystkim gościom. Któż jednak mógł z niéj ocenić wystawę jakiéjś szczególnéj fabryki, któréj nazwisko wypadało odszukiwać mozolnie, wertując napis po napisie, przez szybę hermetycznie zamkniętą? Jeżeli napis ten zaginął lub zatarł się w podróży, wystawa nic na tém nie traciła, lecz pana fabrykanta nazwisko zostawało tajemnicą dla widzów—*tant pis pour monsieur le fabricant.*

Inaczéj téż być nie mogło. Trudno było wymagać od komisyi, żeby dla każdego wystawcy osobną budowała szafę, lub przy każdéj szafie trzymała cicerona, opowiadającego kto i zkąd przyczynił się do zbiorowéj wystawy grupy w niéj zawartéj; jéj chodziło o urządzenie wystawy całéj monarchii jaknajgustowniéj i utrzymanie jéj w ładzie. Uczyniła to z honorem dla państwa. Jeżeli który wystawca pragnął zwrócić uwagę gości na swe okazy, lub robić interesa, wypadało mu uczynić to, co w francuzkich, angielskich, a mianowicie amerykańskich działach czyniono—utrzymywać agenta, chwytającego przechodniów, że tak powiem, za poły i dającego im objaśnienia ustne i drukowane. Jeden taki agent byłby wystarczył dla wszystkich naszych wystawców. Kilkaset dolarów byłoby opłaciło przyzwoicie taką figurę, a sumka ta, podzielona na kilkadziesiąt osób, nie stałaby się dla żadnéj z nich ciężarem. Wobec znacznych wydatków fabrykacyi i wysyłki za morze naszych okazów, niekosztowna taka zabiegliwość miałaby się do całego nakładu, jak premium asekuracyjne do ceny ubezpieczonego domu. Nasi jednak przemysłowcy zapomnieli o niéj; niedziw więc że niejedna rzecz cenna, piękna, widzenia godna i łatwa do sprzedania, wróci z Nowego świata, jak mówił wieszcz angielski: *unknown, unhonored and unsung* (nieznana, nieuczczona i nieopiéwana.)

Wspomniałem o trudności samego już oglądania i osądzenia najżywiéj nas na wystawie obchodzących rzeczy; aby je zaś porównać z téjże klasy zagranicznemi wyrobami, przechodziło to nietylko siły reportera, lecz może i sześciuset dobrze płatnych przysięgłych. Wystawa filadelfijska grzeszyła, wedle mego zdania, zbytnią obfitością okazów przysłanych pod sąd publiki i przysięgłych, i obszarem bez granic, w którym niepodobna było prawie zoryentować się i porównać wyroby, rozstrzelone na przestrzeni całego parku. Im dłużéj ją badałem, tém dowodniéj przekonywałem się, że sędziowie nawet fachowi nie mogli obejrzéć, zestawić obok siebie i osądzić stosunkowéj wartości tysięcy lub dziesiątek tysięcy okazów konkurujących. Nie wierzę więc w nieomylność wyroków filadelfijskich co do rozdawania medalów. Podejrzywam nawet, że w niejednym razie uboczne względy wpłynęły silniéj na sąd tych panów, niż ścisłe badanie sądzonych rzeczy.

Zajęcia osobiste w francuzkim oddziale wystawy pozwoliły mi zajrzéć za kulisy wystawowych sądów. Grupy przysięgłych składały się z 7-miu lub 9-ciu osób, zwykle znakomitych i nieposzlakowanych. Trudniéj orzec, czy specyalne wiadomości wszystkich członków odpowiadały wymaganiom ich stanowiska. Wiem na przykład, że w grupie win znajdował się sędzia Amerykanin, członek potężnego w rzeczypospolitéj zjednoczenia wstrzemięźliwości. Zjednoczenie to nietylko nie dozwala swym zwolennikom picia gorących napojów, lecz działa jako partya odrębna i w niektórych Stanach tyle liczy głosów, że wzbroniło w nich fabrykacyi i wyszynku wszelkich trunków. Sędzia nasz nigdy więc może w życiu nie wypił kieliszka wina. Na szczęście sędziowie nie są zmuszeni do połykania win kosztowanych, choć ulegając ułomności ludzkiéj, często to czynią. Kosztowanie wina na wystawie odbywa się w ten sposób, że każdy z przysięgłych bierze do ust haust napoju, trzyma go w nich przez kilka sekund, a potém wypluwa i wydaje sąd o smaku i bukiecie. Sędzia z pokolenia Yankesów mógł przeto, bez gwałcenia ślubu wstrzemięźliwości, kosztować najwybredniejsze okazy francuzkich winnic.

Błąd popełniony w grupie win, powtórzyła zapewne dyrekcya wystawy i w innych klasach. Ci więc, których okazy wrócą bez upragnionych medalów, mogą się pocieszać, że przy mnóstwie spółzawodników, krótkości czasu przeznaczonego na sądzenie i składzie grup przysięgłych, zapadł nieraz wyrok niesprawiedliwy. Co do krótkości czasu, dodam że panowie sędziowie skracali go sami, o ile mogli. Instynkt zachowawczy wypędził ich z Filadelfii, skoro odebrali od kasyera wystawy po tysiąc dolarów, przeznaczonych przez Amerykę na wynagrodzenie za czas i pracę sądzenia. Nie ganię ich za to, bo żyli tam jak pomiędzy Scyllą i Charybdą, już to lękając się śmierci od porażenia słonecznego, już splinu od nudów filadelfijskich. Miasto to nie posiada życia salonowego lub literackiego, nie ma widowisk godnych dwukrotnego oglądania, ani niczego zgoła, coby zadowolić mogło estetyczne i towarzyskie wymagania ludzi wykształconych. Po za obrębem wystawy spotykali przysięgli głuchą pustynię domków i fabryk, w obrębie jéj Saharę asfaltowych i spiekłych chodników, lub białym piaskiem wysypanych, oślepiających alei. Niedziw przeto, że skoro kasyer pozwolił, uciekli.

W przechwalonéj ostatniéj ćwierci XIX stulecia, biorącego swe godło od męża, co wierzy tylko w *Blut und Eisen*, którego prawem jest siła, w którym reklama jest lepszą drogą do uznania publicznego od zasługi i talentu— trudno wymagać, żeby nawet przysięgli wystawy zachowali ślepotę, jaką mitologia obdarzyła boginię sprawiedliwości. Przypuśćmy że żaden z nich nie zniżyłby się do tego, aby dla schlebienia możnym, pilniéj rozpatrywać się w wyrobach szafującego truflami i szampanem fabrykanta, aniżeli w okazach ubogiego. Przypuśćmy że Anglosas lub Niemiec mógł patrzyć bez uprzedzenia na piérwsze próbki przemysłowe barbarzyńskich, słowiańskich uczniów swoich wczoraj, dziś rywalów. Przypuśmy wreszcie, że wymagania dyplomatyczne i chęć schlebiania państwom potężnym nie wpłynęły wcale na instrukcye, jakie panowie przysięgli odebrali od dyrekcyi wystawy. Wszystkie te przypuszczenia nie zgłuszą we mnie przekonania, że gdzie sam fabrykant lub wymowny agent czynił honory przy swéj szafie i wnętrze jéj dokładnie przysięgłym przedstawiał, tam medale i dyplomy honorowe łatwiéj jakoś trafią. *Les absents ont toujours tort*, z dwoma zaś wyjątkami, wszyscy należeliśmy do tych *qui étaient absents.*

Do dnia mego wyjazdu z Filadelfii nie wiedziano w komisyi rossyjskiéj, kto otrzyma medale. Z innych źródeł wiem jednak, że wystawcy cesarstwa nie konkurują z całym światem, lecz tylko pomiędzy sobą. System ten, na żadnéj wystawie dotąd niepraktykowany, sprawia że medal zdobyty w Filadelfii nie świadczy wcale, iż ten lub ów wystawca celuje nad Niemców, Francuzów, Anglików i t. d., lecz tylko że jego wyroby przypadły lepiéj do smaku panom przysięgłym, niż inne podobne wyroby z cesarstwa przysłane.

Ci, co wbrew rzetelnéj wartości okazów nie dostaną upragnionéj nagrody, niech przeczytają co napisałem powyżéj o pośpiechu sędziów, wielkości wystawy, trudnościach z jakiemi wystawcy, niemający agentów w Filadelfii, walczyć muszą, by pokonać faworytyzm, przesądy, względy, których źródła nawet domyśléć się niełatwo. Niech pomną wreszcie, że widziałem dużo ciekawych rzeczy za kulisami wystawy francuzkiéj. Nie dadzą medalów—mniejsza o nie. W sercach przyjaznych wyryły się zato nazwiska przedsiębiorczych producentów, którzy ztąd aż do Filadelfii podążyli po uznanie świata. Niezrażeni zawodem, odbierzcie swoje okazy, ulepszajcie je, nie zaniedbujcie żadnéj wystawy, na téj czy owéj półkuli, aż łaskawszych znajdziecie sędziów. Przyjmcie godło pewnego Anglika: *try, try, ever try*, które w wolnym przekładzie znaczy: próbuj, próbuj, próbuj bez wytchnienia. Łamcie się, aż zwyciężycie, pomnąc że czy do medalów, czy do kupieckich powodzeń, czy do sławy grodu, czy do wszystkiego czego pragniemy, droga stroma i ślizka.

(*Dalszy ciąg nastąpi.*)

Przegląd teatralny.

Pozłacana młodzież. Komedya w 4 aktach, oryginalnie przez Michała Bałuckiego napisana.

Mając zdać sprawę z utworu jednego ze zdolniejszych beletrystów naszych, winniśmy przedewszystkiém zaznaczyć, iż niemałym postępem, jaki pan Bałucki w ciągu ostatnich lat pięciu uczynił, jest to, że wykształcił w sobie smak estetyczny i doszedł do władania językiem, odznaczającym się stylem pięknym i treściwym.

Porównajmy tylko humorystykę i dowcip dzisiejszy p. Bałuckiego z dawniejszemi. Tamte obudzały zwykle, z powodu swéj rubaszności, pewien niesmak, gdy dziś, przeciwnie, w pracach naszego autora spotykamy poczucie estetyczne i zręczność, których-to przymiotów nabycia szczérze mu winszujemy.

Świadczy o tém między innemi i nowa komedya p. Bałuckiego, p. t. *Pozłacana młodzież*, którą znamy już potrójnie: z czytania, z teatrzyku ogródkowego i nareszcie ze sceny teatru warszawskiego.

Głównymi jéj bohatérami są: Służkowski ojciec, dorobkowicz, zamożny właściciel ziemski; Artur syn, jak każdy prawie syn poczciwego, lecz mądrego tylko do robienia piéniędzy ojca, próżniak, hultaj i głupiec; Hortensya siostra dorobkowicza, któréj we Lwowie pańskość głowę zawróciła i wytworzyła z niéj śmiésznego koczkodana; nareszcie Helena, córka Służkowskiego, jak zwykle młoda panienka skłonna do próżności, lecz odznaczająca się z tém wszystkiém większą trzeźwością umysłu, niż ojciec jéj, ciotka i brat.

Helena zaręczona jest młodemu, zacnemu, zdol-

Zamek w Mitawie. 212

SZACHY.

ZADANIE XXXV.

Białe zaczynają i dają mata za 4 posunięciem.

Czarne.

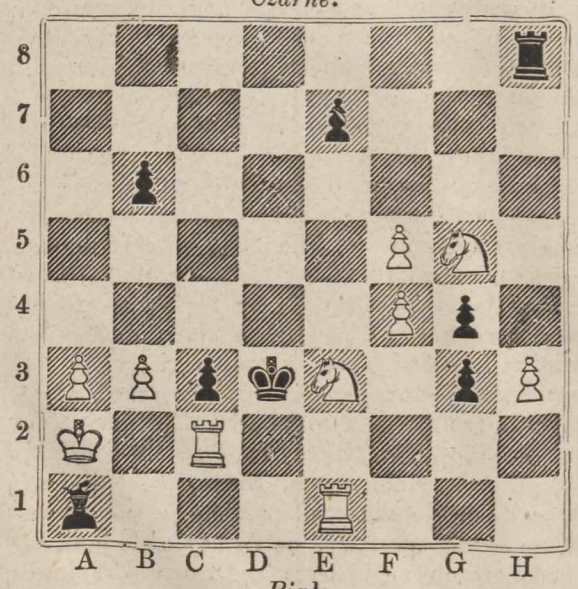

Białe.

Rozwiązanie zadania szachowego nr. 34.

Białe.	*Czarne.*
1) A1—D1 . . .	1) E5—F4 (a).
2) D1—D6 †. . .	2) F4—F5.
3) D6—F6 † i mat.	
	(a) 1) A6—C5 biorą.
2) D1—D4 †. . .	2) E5—D4 biorą.
3) D8—F6 † i mat.	

NAKŁAD JÓZEFA UNGRA.

Emigracya chłopska.

OBRAZ DRAMATYCZNY LUDOWY

W PIĘCIU AKTACH,

napisał

Władysław Ludwik Anczyc.

Uwieńczony nagrodą ludową na konkursie krakowskim 1876 r.

Utwór ten, dzielnego pióra, cieszący się bezprzykładném powodzeniem na scenach polskich, dotyka bardzo ważnéj sprawy, trapiącéj ludność Galicyi i w. ks. poznańskiego. Żywioł ludowy, odtworzony ze znajomością niepospolitą ludu, odgrywa tu rolę piérwszorzędną, i na jego to tle rozgrywa się smutny dramat, który w sztuce Anczyca przewija się w mnóstwie scen i sytuacyj, pełnych barwy i życia. Piérwszy to dramat ludowy w naszéj literaturze, a jak to wogóle krytyka uznała, dramat celujący wyborem treści, żywotnością i artystyczném obrobieniem.

CENA:

w Warszawie . . . . . kop. 40.
z przesyłką do cesarstwa i na prowincyą „ 50.

Adres: Józef Unger, Nowolipki, nr 2406 (nowy 3)

REBUS. 243

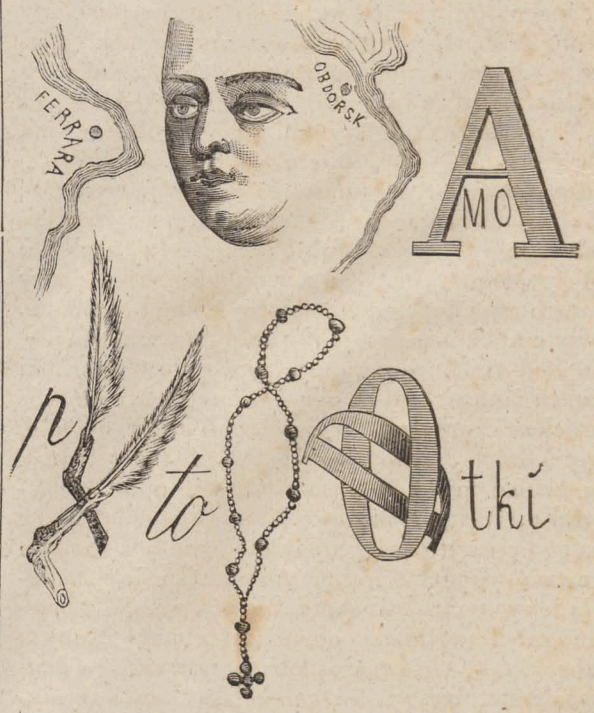

Znaczenie rebusa umieszczonego w nr. 39.

Złośliwości diabełka w spódnicy nie wyrówna nic.

nemu i przystojnemu adwokatowi Janowi Szczerbie. Służkowski, obałamucony, pozwala synowi i córeczce, pod opieką ciotki, jechać do Lwowa, tam zamieszkać i kształcić.... próżność i skłonność do naśladowania świata tak zwanego arystokratycznego.

Oto jest jeden świat, przedstawiony w téj komedyi, przyznać to musiémy, z rzeczywistą znajomością rzeczy.

Następnie przechodzi autor do téj części społeczeństwa naszego, która dla rodzaju żeńskiego ma swoje nazwisko, pożyczone z Paryża: *demi monde*. Nie wiemy doprawdy, czy nie byłoby słusznem i owę *złotą*, a raczéj, jak sprawiedliwie ją autor nazwał, *pozłacaną* młodzież męzką nazwać półświatem; wszak ona życie swe przepędza głównie w sferach tego właśnie półświatka żeńskiego, ucząc się od niego próżniactwa, kłamstwa i bezczelności.

Na czele téj pozłacanéj młodzieży stoi kierownik, Funio, postać bardzo pospolita w większych miastach. Ofiarami jego są: hrabia Alfred, Lunio i Munio, oraz z przeciwnego świata téj komedyi Maciuś, przezwany arystokratycznie Arturem, syn dorobkowicza Służkowskiego, daléj ciocia Hortensya, a nareszcie sam Służkowski, który na to ciułał w krwawym nieraz pocie, ażeby za pośrednictwem kochanego synka, Funio, Munio i Lunio za grosz jego wesoło się bawili, a nawet gotówkę legalnie mu kradli.

W takiém towarzystwie pozłacanéj młodzieży żyje Arturek, syn, pociecha i nadzieja cała Służkowskiego, i taką młodzież wprowadził p. Bałucki do salonu.

Za staraniem cioci, Helena obojętnieć zaczyna dla Jana Szczerby, którego działalność ważną jest w téj komedyi, a jednakże niedostatecznie przez autora wyzyskaną, tak dalece, że widząc tę postać, dość blado nakréśloną, zapytywaliśmy mimowolnie samych siebie, czy przymioty jéj istotnie są tak wielkie, ażeby nie dopuściły obałamucenia młodéj główki? Jan Szczerba zanadto nam się wydaje zimną i sztywną postacią, więcéj skłonną do upolowania posażnéj panny, niż do uczuć szlachetnych i gorących, jakich w nim tylko autor każe nam się domyślać.

Panna Helena, przyjmując udział w amatorskich teatrach, odgrywa rolę kochanki, narzeczonéj hrabiego Alfreda, który postanawia naprawdę dziewczynę młodą w sobie rozmiłować, a następnie... ożenić się?—*ji donc!* córka jakiegoś tam handlarza baranami!.... a więc? — postarać się o nową kandydatkę do półświatka żeńskiego.

Zapewne że zdarza się to nieraz; ale na sposób przeprowadzenia tego zamiaru zgodzić się nie możemy. Autor, przedstawiając hrabiego Alfreda z koroną rzeczywistą, nie pozłacaną, pochodzącego ze sfery prawdziwie arystokratycznéj, dał mu do odegrania rolę bardzo mizerną. Wzięcie się zbyt obcesowe, w celu uwiedzenia panienki, mającéj wprawdzie tylko opiekę lekkomyślnéj ciotki, ale odznaczającéj się taktem, rozsądkiem i przyzwoitém postępowaniem, nie cechuje ze strony hr. Alfreda wcale obycia się ze światem, którém młodzież, choćby zepsuta, sfer arystokratycznych zawsze się odznacza.

Helenie oczy się otworzyły: przelękła się swoich złudzeń i powróciła do Jana, którego w gruncie jeśli nie kochała całém sercem, to nie jej wina doprawdy, lecz autora, że dał jéj prawego, rozumnego, lecz strasznie jakoś chłodnego wielbiciela. Bądź co bądź, szanować go przynajmniéj musiała za ostre słowa prawdy, rzucane śmiało w oczy nietylko rodzinie, Służkowskiego, ale nadto i téj którą kochał, któréj serca i ręki gorąco pragnął.

Służkowski nareszcie, za staraniem Jana Szczerby i domownika starego Jakuba, zaczyna spostrzegać się, że utrzymanie domu we Lwowie zanadto wiele kosztuje, do czego niepospolicie przyczynia się i kochany syn jego Maciuś, a raczéj Artur, zaciągający długi z pomocą Funia i posuwający się nawet aż do podpisywania starego ojca na wekslach fałszowanych.

Funio, pragnąc obedrzéć starego Służkowskiego, wymyśla kłamstwo, że dama wielkiego świata, hrabina Ida, kocha się w Arturze, a skoro przeprowadzi proces rozwodowy, mający ją rozłączyć z mężem, hrabią Jerzym, Arturek będzie mógł z nią się ożenić. Próżny młodzieniec uwierzył téj bajce Funia, trochę naciągniętéj i niezgodnéj ze zdrowym rozsądkiem; Arturek bowiem, choć jak to mówią prochu nie wynalazł, tyle zawsze posiadał logiki elementarnéj, że będąc zaledwie kilka razy w domu hrabiny Idy, przyjmującéj go grzecznie, ale traktującéj poważnie, nie mógł nabrać przekonania, ażeby hrabina dla niego rozwodzić się miała z mężem; a zresztą choćby nawet przyszedł jéj kaprys zajęcia się jego osobą, zkądże znowu Funio miał być uczuć hrabiny powiernikiem?

Rozmarzony jednak chłopak, jak sobie autor tego życzy, uwierzył Funiowi i zapytuje, dlaczego hrabina nie kończy rozpoczętego rozwodu. Wtedy Funio w sekrecie odkrywa Arturowi, vulgo Maciusiowi, przyczynę smutną zwłoki, to jest brak pieniędzy, na przeprowadzenie sprawy rozwodowéj. Arturek biegnie do ojca i wyłudza od ń półtrzecia tysiąca złotych reńskich. Stary krzywi się, lecz daje, a nadto dla uczczenia Funia zgadza się na wystawne śniadanie. Niedość na tém, ślepotę swoję posuwa aż do tego stopnia, że zamiast czynić synowi gorzkie wyrzuty za podpisywanie jego nazwiska na wekslach Żydom wystawianych, uspakaja się słowami Arturka, który zapewnia, że długi te z posagu przyszłéj żony swéj zapłaci.

Nieźle udała się autorowi scena wyprawionego śniadania, na którém widziémy dwóch podrostków, Lunia i Munia, uczniów zacnego Funia, kłócących się i wyrzucających sobie nawzajem swoje pochodzenie. Sceny podobne zdarzają się wistocie; lecz żeby młodzieniaszkowie tego rodzaju bywali w towarzystwie takiego lwa, jakiego autor miał zamiar w osobie hrabiego Alfreda wystawić, lub choćby w towarzystwie takiego półgłówka, jakim jest Arturek, na to zgodzić się nie możemy.

Ciocia Hortensya, ze swoją niedorzeczną pretensyą należenia do świata wyższego, uwydatnia się najlepiéj w chwili, gdy w akcie ostatnim autor wprowadza na scenę świat trzeci, prawdziwie arystokratyczny, w osobie hrabiego Jerzego i żony jego hrabiny Idy.

W dalszym ciągu intrygi ojciec Służkowski wydaje się przed Ignacym Szczerbą z tego, że syn jego wkrótce ma być mężem hrabiny, a młody adwokat, będący przyjacielem domu hrabiego, słusznie tą wiadomością zdziwiony, z kartką Funia, w któréj nanowo od Artura żąda na dokończenie rozwodu dwóch tysięcy złotych reńskich, śpieszy do pałacu hrabiostwa i pismo to składa w ich ręce. Hrabina, porozumiawszy się z mężem, postanawia zuchwalca ukarać przykładnie.

Charakterystyczne, a zarazem komiczne jest wejście i zachowanie się w salonie hrabiostwa całéj rodziny Służkowskich, wyjąwszy jednéj Heleny, którą znów naraz autor czyni nienaturalnie wyższą od ojca, ciotki i brata.

Ojciec Służkowski znajduje się w salonie hrabiny, jak ekonom w kancelaryi jaśnie oświéconego księcia, właściciela majątku. Ciocia Hortensya Marcypańska jest śmiészna ze swoją pokaléczoną francuzczyzną. Są-to typy dobrze już znane, z któremi bardzo często się spotykamy. Lecz najzabawniejsze jest wzięcie się obcesowe Maciusia, czyli Arturka, do rozmowy z hrabiną, w któréj kłamstwo i bezczelność próżnego chłopaka odrazu się uwydatniają.

Następuje nareszcie rozwiązanie, z którego pokazuje się, że wszyscy byli ofiarami Funia, o czém nikt, oprócz spektatorów w teatrze, nie wiedział, chyba dlatego tylko, że wiedzieć nie chciał. Maciuś odbiéra naukę, stary Służkowski karę za swoję pobłażliwość, a ciocia Hortensya za łatwowierność, gdyż zapomnieliśmy dodać, że Funio robił operacye spekulacyjne jéj funduszami.

„Funio winien!“—więc wszyscy na niego.— Ale gdzie Funio?... Na drodze do Ameryki, a za nim gończe idą listy.

W zakończeniu nie rozumiemy, dlaczego Jan Szczerba bierze za rękę Helenę i prosi o błogosławieństwo hrabiego, które ten udziela, gdy tymczasem ojciec stoi na boku i odgrywa rolę bardzo podrzędną, w rzeczy stanowiącéj o przyszłości jego córki.

Wogóle komedya *Pozłacana młodzież* posiada kilka sytuacyj bardzo nawet komicznych, nie zbywa jéj na dowcipie, lecz osnowa jéj cała nic nowego nie przedstawia: wszystko co w niéj widziémy tak dalece jest nam znane, że ani wrażeń nowych wynieść, ani nauki żadnéj z utworu tego wyciągnąć nie możemy.

Pan Rapacki, tak jak zrozumiał swą rolę, oddał ją znakomicie; ale czy nie zanadto było przesady w téj grubéj nieznajomości świata i ludzi, oraz zaślepienia zbyt rażącego w chwili, gdy historya fałszywych weksli na scenę wychodzi? Wątpliwości nie ulega, że autor nakréślił błędny szkic takiéj postaci, ale i to jest rzeczą pewną, że p. Rapacki grą swoją jeszcze więcéj ten błąd uwydatnił. Handlarz baranami, który w dzisiejszych czasach zbierze tak kolosalny majątek, że rodzina jego żyje na stopie rodzin arystokratycznych w mieście stołecznem i żadnych zbytków sobie nie odmawia, będzie zapewne zawsze istotą przypominającą swoję przeszłość, lecz nigdy znów w tak wysokim stopniu, jak scharakteryzował się i grał p. Rapacki.

Maciuś, syn Służkowskiego, po pańsku przezwany Arturem, postać jakich wiele spotkać można, szczególnie we Lwowie i w Krakowie, z prawdą nakréślona przez autora, znalazła w osobie p. Szymanowskiego znakomitego przedstawiciela. Jego gburowatość, cechująca złe pierwiastkowe wychowanie, przebijająca się ciągle, przy usiłowaniach przejęcia się manierami wielkiego świata, jego próżność, przy braku wykształcenia umysłowego, jego bezczelność i zuchwalstwo—wszystko to wystudyował artysta i oddał znakomicie.

Rola Jana Szczerby, jak już powiedziliśmy, zanadto blado przez autora została nakréśloną, p. Tatarkiewicz zatém dla swego talentu nie miał pola dostatecznego. Co mógł jednakże, zrobił z niéj i grał bez zarzutu.

Postać Funia, jedna z charakterystyczniejszych w téj komedyi, a do oddania na scenie może najtrudniejsza, dostała się p. Grubińskiemu, któremu to tylko zarzucić musiémy, że się trochę zbyt przesadnie scharakteryzował. Zresztą był to sobie prawdziwy Funio na ten model, na jaki autor komedyi go stworzył, a właściwiéj mówiąc, wybornie skopiował.

Pan Prażmowski, w roli hrabiego Alfreda, wydał nam się zbyt zaniedbanym. Arystokrata ma to do siebie, że na każdém miejscu pamięta o powierzchownych formach przyzwoitości.

Pani Ostrowska wywiązała się dobrze z roli cioci Marcypańskiéj, a kaléczące niemiłosiernie język nadsekwański, kilkakrotnie do szczérego pobudzała śmiéchu.

L. Winkler.

POJEDYNEK SZLACHETNYCH.

Komedya w 4-ch aktach,

ORYGINALNIE PROZĄ NAPISANA

przez

Sewera.

(Nagrodzona na tegorocznym konkursie dramatycznym warszawskim).

(*Dalszy ciąg*).

AKT II.

Scena przedstawia wielki przedsionek zamku Harvey. Dwoje drzwi z dwóch stron, w głębi zaś drzwi wązkie, mocno okute; obok nich posłanie, niewielki stół staroświecki i dwa podobne drewniane stołki. Pocock, białowłosy staruszek, ubrany po staroświecku w futerko, z pękiem kluczy u boku, zapala lampę pięcioramienną, wiszącą u powały.

Scena 1.

POCOCK (*sam*).

POCOCK.

Cicho i cicho—pusto i pusto! a smutno, że aż

się życie przykrzy! Głupie czasy, a dlaczego? bo nudno—a rozumié się! No, bo i co dzisiaj ci lordowie robią? Gadają, gadają i w rezultacie nudzą się—uciekają na kontynent i tam się nudzą, wracają i znów się nudzą... Dawniéj—ba dawniéj było inaczéj. A rozumié się! Dawniéj, polowali, pili i bili się! A dziś—dziś conajwięcéj kłócą się, a potém nudzą. Dawniéj się tłukli, że aż puder sypał się z peruk, jak dészcz... Dziś nawet peruk nie noszą i pudru nie mają. (*Z mocą*) A poco im to?!... Sale zamku pełne były szlachty i gości — i więzienia pełne!... A rozumié się... Nawet za czasów tego awanturnika z wyspy św. Heleny było sto razy lepiéj... Cała szlachta na koniach, lub na pokładach okrętów. A dziś... dziś gnuśnieje, lub kupczy i hańhi się... A rozumié się!

Scena 2.

TROTTER I POCOCK.

TROTTER.

Pocock! nowiny!

POCOCK (*z ręką przytkniętą do prawego ucha, obchodzi Trottera tak, aby stanąć w dogodnéj do słuchania pozycyi*).

Co, co sir mówisz?

TROTTER.

Baczność!

POCOCK.

Tak, baczność od 30-tu z górą lat, baczność, a tu nawet mucha nie przeleci.

TROTTER (*do ucha Pococka*).

Mówię baczność, to znaczy że jest cóś.

POCOCK (*ciekawie*).

Co? (*Nadstawia bliżéj ucha*).

TROTTER.

Więzienie gotowe?

POCOCK.

Od lat stu suszone, wietrzone, a zawsze napróżno! A rozumié się. (*Wzdycha i macha ręką.*)

TROTTER.

Mamy więźnia! Jeden z dżokei przywiózł rozkaz.

POCOCK.

Co? co? nie słyszę.

TROTTER.

Więzień w drodze!

POCOCK (*wznosi ręce do góry*).

Boże, bądź pochwalon za Twe miłosierdzie nad rodem Harveyów. Więzienia pełne, to znaczy zwycięztwo, powagę! Boją się nas i szanują. A uurpator nie bał się nas, co? sam trzymałem pod kluczem trzy lata pięćdziesięciu najdzielniejszych jego zuchów! Bał się i pojechał na Helenę. A rozumié się!

TROTTER.

To prawda, mój stary.

POCOCK (*wyszukuje klucz z pęku wiszącego mu u boku, biorąc jeden w rękę*).

Ten, ten sam, znam ja cię, znam. Zamykałeś ty już nie raz i nie dwa! (*Do Trottera.*) A jakby przeczuciem wiedziony, wysmarowałem go wczoraj oliwą.

TROTTER.

Dobrześ zrobił.

POCOCK (*biegnie do małych drzwi, umieszczonych w głębi po lewéj stronie widzów, otwiéra je i znika w korytarzu.*

Scena 3.

Wchodzi KIDD, *za nim służba niesie* JULIUSZA. *Późniéj powraca* POCOCK *i z dłonią przyłożoną do ucha, przechodzi od jednego do drugiego z mówiących.*

KIDD.

W imieniu lordów Harvey i Burghley—którego to ostatniego jestem sekretarzem, (*dumne spojrzenie ze strony Kidda, Pocock głową kiwa*) oświadczam że głową odpowiadacie za więźnia!

POCOCK (*przerywa*).

A rozumié się! (*Zaciéra ręce.*)

KIDD (*do ucha Pococka*).

Więzień stanu!

POCOCK.

Znam ich—znam, i takich i owakich. Więzień stanu, czyż to wielka osobliwość dla Pococka?

KIDD (*do służby*).

Rozwiązać powrozy. (*Służba rozwiązuje Juliusza, który się wyciąga*).

JULIUSZ (*zamyślony*).

A to ciekawe!

KIDD.

Nic ciekawego, zwyczajne spełnienie z naszéj strony obowiązku.

POCOCK.

A rozumié się! Cóż to dziwnego dla zamku Harvey.

KIDD.

Życzeniem jest mojém i lordów, aby więźniowi na niczém nie zbywało.

JULIUSZ (*z ironią*).

Dziękuję ci, panie sekretarzu, za twe szlachetne życzenia.

KIDD.

Prosty obowiązek, panie, albowiem jesteś więźniem stanu.

POCOCK.

Inny jest regulamin dla więźniów stanu, a inny dla zwyczajnych przestępców. (*Pocock obchodzi więźnia, przypatrując mu się zblizka od stóp do głowy z uwagą.*)

TROTTER.

Spełnimy naszę powinność.

KIDD.

Lordowie Harvey i North Northamptonshire, również jak i ja, spodziéwamy się tego.

POCOCK (*oglądając Juliusza*).

A gdzie upolowany?

KIDD (*z wielką godnością głośno*).

Pocock, to nie wchodzi w twój zakres.

POCOCK.

Prawda, to do mnie nie należy. Jest więźniem lorda Harvey, a ja za niego głową odpowiadam i oto wszystko. A rozumié się!

JULIUSZ (*podchodząc do Kidda*).

Ależ nareszcie, czy nie mógłbyś, mój panie, wytłumaczyć mi, co znaczy cała ta komedya?

KIDD.

Raczéj osmieliłbym się nazwać położenie, w którém pan się znajdujesz, dramatem (*dumne spojrzenie*), nad którego rozwiązaniem jeszczem się nie zastanawiał, z powodu braku czasu. Zresztą z więźniami stanu regulamin zakazuje rozmawiać. (*Odsuwa się od Juliusza. Juliusz przeciéra ręką po czole i oczach, wzruszając ramionami, na dowód że nic nie rozumié.*)

KIDD.

Pocock! (*Pocock nadbiega, z ręką przy uchu.*) Zatém odebrałeś więźnia?

POCOCK.

I pokwituję!

KIDD.

Straż potrzebna?

POCOCK.

Kraty, rygle i Pocock wystarczą.

KIDD.

Pójdźmy więc, gdyż rozmowa z więźniem stanu wyraźnie jest wzbroniona. (*Wychodzą.*)

Scena 4.

JULIUSZ I POCOCK.

POCOCK.

Wielka rzecz dla Pococka więzień stanu! Mieliśmy ich niemało! Albo i za staréj rewolucyi, co to było za życie. Raz okrągłe głowy siedziały na zamku i więziły czubate kapelusze, to znowu przyszły czubate kapelusze i więziły głowy okrągłe. Ci tych, tamci tamtych; aż miło, mówił mój dziad, a jemu jego ojciec, aż miło, bo był ruch, wrzawa, hałas... A dziś co? Jeden więzień na dwadzieścia lat. Miéwałem ja ich dawniéj po pięćdziesięciu.

JULIUSZ.

Widzę, mój staruszku, że możność trzymania ludzi w więzieniu sprawia ci wielką radość.

POCOCK.

A rozumié się, bo to przyczynia się do chwały moich lordów. Sześć pokoleń Pococków klucznikami u Harveyów! Tradycya także cóś znaczy. I czyż to dziwne że Pocock nie chce darmo jeść chleba? Zresztą nie jestem ja ludożercą; będziesz pan miał wygodne łóżko, lampkę i biblią. Pójdźmy!

JULIUSZ.

Ciekawe! Ale idźmy nareszcie, bo prawdziwie jestem zmęczony.

POCOCK.

Więzień stanu! Byli tu oni za Karola, i za Wilhelmów, i za Anny, a ostatni był przed dwudziestu laty. (*Pocock otwiéra drzwi w głębi. Odchodzą.*)

Scena 5.

Wchodzą LORD I NORTH, *za nimi* KIDD *i* TROTTER. *Lordów poprzedza służba, która staje u drzwi. Późniéj* POCOCK.

LORD (*do Trottera*).

Więźnia odebrałeś?

TROTTER.

Tak, mój lordzie, umieszczony w baszcie królewskiéj.

NORTH (*do Kidda*).

Lina okrętowa była w użyciu?

KIDD.

Nie, mój lordzie, więzień zachowywał się, jak prawdziwy mąż stanu, to jest milczał.

LORD.

Tém lepiéj. (*Do Trottera.*) Młoda pani wróciła?

TROTTER.

W téj chwili z Peggy wysiadła przed swoim pawilonem.

NORTH.

Więc wszystko wykonane?

KIDD.

Wszystko, podług instrukcyi. (*Wchodzi Pocock z drzwi więzienia i z impetem zamyka je na klucz.*)

LORD (*podniesionym głosem*).

Cóż Pocock powié?

POCOCK.

Co Pocock, mój lordzie? Pocock dziękuje Bogu za chwałę Harveyów! Gwiazda nasza jeszcze nie zgasła. Więzienia pełne, to znaczy że się nas boją, a szanować muszą.

NORTH.

Dobrze, Pocock; gdy się nas boją, wtedy i szanują.

POCOCK.

A rozumié się, mój lordzie!

LORD.

Jak się zachowuje więzień?

POCOCK.

Jak każdy więzień stanu. Z początku rzucił się na łóżko i parzył w sufit. (*Lordowie spoglądają znacząco na siebie*).

LORD.

Pocock, polegam na tobie.

POCOCK.

Albo to Pocock nie wié, mój lordzie, co znaczy więzień stanu? Pocock za niego głową odpowiada i basta.

NORTH (*do lorda*).

Chociaż to jest arcy-zabawne, troszkę jednak lękam się wigów. Gdy się dowiedzą, uderzą na gwałt i możemy upaść.

LORD.

Bądź spokojny. (*Do Trottera.*) Obstawić drogi i park ludźmi!

TROTTER.

Stanie się, jak każesz, mój lordzie. (*Trotter odchodzi.*)

LORD (*do Kidda*).

A ciebie proszę, mój Kidd, jedź natychmiast do Londynu w sprawie więźnia.

KIDD (*kłaniając się*).

Kidd zna swoje powołanie i rozumié swe stanowisko.

NORTH (*do Kidda*).

Tylko niech cię próżność nie zaślepia, radzę i ostrzegam.

KIDD (*uśmiéchając się, do siebie*).

Przecież nie siedzę w izbie lordów i nie miéwam mów. (*Głośno.*) We dwadzieścia cztéry godzin dostarczę potrzebnych wiadomości.

NORTH.

Ufamy.

LORD.

I czekamy. (*Obaj lordowie kłaniają się Kiddowi*

pochyleniem rąk. Kidd kłania się z emfazą i odchodzi.)

(*Dalszy ciąg nastąpi*).

Wystawa rolnicza w Szawlach.

Ktokolwiek jechał koleją wileńsko-kowieńską, libawską lub radziwiliską w dniach od 12 do 16 września b. r., zauważyć musiał niezwykłą ilość podróżnych, szczególniéj piérwszéj i drugiéj klasy; nawet senna zwykle linia od Koszedar do Szawel, stanowiąca część drogi żelaznéj libawskiéj, ożywiła się, ku zdumieniu naczelników i zawiadowców i to do takiego stopnia, że zwykle puste siedzenia jedynego na dobę pociągu tak się przepełniały, iż trzeba było dodawać nowe wagony, a stacye zaledwie mogły pomieścić tłumy rzadko widzianych gości.

Wszystko to podążało, jak na odpust, na wystawę szawelską, liczącą już drugi rok swojego istnienia. Szczęśliwsi z podróżnych mieli zawczasu zapewnione sobie mieszkania u znajomych lub krewnych; mniéj szczęśliwi pocieszali się nadzieją opieki panów kierowników wystawy, którzy przyrzekli rozciągnąć swą troskliwość nad pomieszczeniem przybyszów w nielicznych zajazdach szawelskich. Jakoż na dworcu kolejowym miasteczka wystawowego ujrzeliśmy krzątających się panów z różnokolorowemi kokardami, którzy na żądanie rozdawali przyjezdnym kartki na mieszkania; był na nich wypisany adres gospody lub domu prywatnego, ale cenę, na nieszczęście, pozostawiało się do osobistego porozumienia z właścicielami trzydniowych przytułków; a niektórzy z nich nie odznaczali się wcale chwalebném umiarkowaniem w wymaganiach, żądając, a co gorsza, biorąc 25 rubli na przykład za parę pokoików; średnia jednak opłata wynosiła 2 ruble na dobę od osoby, a więc o półrubelka drożéj, niż na przykład w hotelu Atlas w Filadelfii...

Bądźcobądź, dziękujmy losowi, żeśmy wszyscy znaleźli dach i łóżka, bo w niewielkiém powiatowém miasteczku, przy silnym przypływie gości, mogło nas spotkać cóś gorszego od drożyzny, mianowicie nocleg pod gołém niebem, i to w taką słotę, jaka na przykład 13-go września parasolom i obuwiu naszemu dała się we znaki.

O kilkaset kroków od miasteczka szarzeje kilka dużych domów; tam mieści się zbiór okazów rolnictwa i przemysłu żmujdzkiego. Mówię *szarzeje*, bo domy są drewniane, niemalowane i niebielone, ale zato tyle obszérne, że bez natłoku chodzić i oglądać można było wystawione tam rzeczy.

Na jednym z nich powiéwają chorągwie, otoczone wieńcami i girlandami z liści dębowych: jestto *main building*, pałac kryształowy, Sydenham szawelski. Płacimy pół rubla, za to że będziemy oglądali wystawę, a nadto dziesiątkę dla Serbów, i wchodzimy do obszérnego, trochę ciemnego zabudowania, które w chwilach mniéj uroczystych służy za koszary żołniérskie. Stopy nasze, zamiast się trudzić chodzeniem po twardych asfaltach lub marmurach, mile toną w żółtym piaseczku, zastępującym podłogę; powonienie nasyca się zapachem wystawionych ogrodowizn, oraz świéżych liści dębu i krzaczków kukurydzy, któremi przystrojono ściany, aby pokryć brak fresków i adamaszków.

Przez całą długość budowli ciągną się dwa szeregi stołów, a na nich po obu stronach leżą i wiszą owoce ziemi i pracy naszych rolników, tworząc tym sposobem trzy korytarze czyli uliczki, przecięte pośrodku gmachu poprzeczném przejściem, skutkiem czego tworzy się wolna przestrzeń centralna—nazwijmy ją rotundą—a w téj rotundzie muzyka austryacka gra uwertury i tańce, stoją ławeczki dla znużonych, a w środku wznosi się ze smakiem ustawiona wystawa z dóbr p. Komara, złożona z okazów ziarn zbożowych, potężnych owoców, séra i t. d.

W drugiém zabudowaniu znajdowały się okazy żywe zwierząt gospodarskich; na obszérnym dziedzińcu przed głównym domem wystawy i na drugim, w którym się mieścił komitet oraz bufet, rozłożono wcale niemały zasób machin i narzędzi rolniczych. Gdy do tego dodamy pięknie urządzoną pasiekę w poblizkim parku hr. Zubowa, marszałka powiatu szawelskiego i prezesa wystawy, otrzymamy zupełny obraz miejsc pod nią zajętych.

Jak każda wystawa rolnicza, tak i tutejsza składała się z następnych głównych oddziałów: roślin, ziarn gospodarskich, zwierząt i produktów z nich otrzymywanych, oraz narzędzi i machin. Oprócz tego pokrewne z rolnictwem gałęzie przemysłu reprezentowane były przez różne wyroby z drzewa, skóry, włókien, gliny i t. d. Przejdźmy kolejno wszystkie te kategorye, kilka słów każdéj z nich poświęcając.

Okazy ziarn i całych roślin, tak czysto rolniczych jak ogrodowych, przedstawiały się widzom w obfitości i bardzo korzystnie. Urodzajna gleba żmujdzka dostarczyła bardzo bujnych ziarn pszenicy, żyta, jęczmienia, orkiszu, owsa, kukurydzy (zwanéj koński ząb) i grochu. Panowie: Zubów, Szumowski z Hornowa, Komar z Poniemunia, Poraziński, Butkiewicz i wielu innych, nadesłali głównie tego rodzaju okazy, przekonywając przyjemnie zdziwionych przybyszów, że i w naszéj ubogiéj prowincyi, przy szczéréj chęci i pracy, dojść można do wytwarzania ziarn niepospolitych rozmiarów i zalet. Że len i konopie spotkamy tu prawdziwie wzorowo wyhodowane, do tego byliśmy przygotowani, słysząc zawsze iż Żmujdź głośna jest z uprawy roślin włóknistych; konopie szczególnie zadziwiały pięciołokciowym blizko swym wzrostem. Rośliny okopowe również świetnie się przedstawiały, jak niemniej i ogrodowizny. Ziemniaki barona Behra (z Kurlandyi), pana Kiborta, Komara, buraki p. Podbereskiego, olbrzymie głowy kapusty barona Budberga, p. Nowickiego i innych dawały świadectwo o staranném ich uprawie. Dziwię się jednak że próbek mąki, ani też okazów traw pastewnych, zgoła nie widziałem; zbyt także mało wystawiono owoców ogrodowych, ale zato oglądałem z przyjemnością winogrona miejscowe.

Inwentarzowe żywe okazy składały się ze skromnéj ilości bydła rogatego, koni, nierogacizny i owiec. Z przykrością czuło się nieobecność okazów tych zwierząt z chlewów i obór włościańskich. Nie wiem coby to znaczyło, że wieśniacy daleko mniejszy udział wzięli w tegorocznéj wystawie—lecz ani koni owych „Kiejstutowych,“ ani krajowéj rasy bydła i świń nie było widać, a i samych włościan zapewne odstraszała dość wysoka opłata wchodowa, bo było ich nader niewielu. Myślałem sobie, że możeby na przyszłych wystawach należało w dniu piérwszym oznaczyć opłatę za wejście po rublu, a zato w dwóch dniach następnych po złotemu; toby może pociągnęło więcéj młodszéj braci.

Najpiękniejsze okazy bydła rasy algauskiéj krzyżowanéj przedstawili baron Ludwik Ropp i panowie Kierbedziowie, prześliczną zaś i ogromną cielicę krwi holenderskiéj p. Konst. Skirmunt ze Święciańskiego; hrabia Zubów, który w każdéj gałęzi gospodarstwa i przemysłu okazał niepospolitéj wartości rzeczy, nie zaniedbał i téj, za co komitet przyznał mu w nagrodę puhar srébrny. Wyżéj zaś wymienieni panowie otrzymali: Ropp złoty medal ministerstwa (najpiérwsze premium), Kierbedziowie dyplomy na złote medale, a Skirmunt wielki srébrny medal ministerstwa. Oprócz nich rozdano około 10 srébrnych mniejszych oraz bronzowych medali i niemało listów pochwalnych. Bydła, koni, trzody chléwnéj i owiec było po 30 do 40 sztuk tylko. Rzecz oczywista, że to nawet na Szawle zamało, a przyczyną tego nie brak tych zwierząt w prowincyi, ale niedostateczne oswojenie się z celami i korzyściami wystawy.

Masło i séry przedstawili pp. Poraziński, Komar, Naryszkin i inni; wełny nie widziałem wcale, tylko trochę nici wełnianych, bardzo zresztą pięknie, jak włóczka, wyglądających; skór wcale także nie było, a z wyrobów z niéj zauważyłem jednę tylko, bardzo dobrze przedstawiającą się uprząż, wystawioną przez p. Malinowskiego. *A propos des bottes* notuję tu, iż pan Skinder, znany w Wilnie jako najlepszy majster szewcki, przywiózł tu próbki swoich wyrobów prawdziwie eleganckich, a w trwałości i wygodzie z pewnością nie ustępujących warszawskim i zagranicznym, jak o tém wiem z własnego doświadczenia. Że zaś pan Skinder należy do rzadkich u nas majstrów z obywateli, pozwalam tu sobie kilka słów wzmianki o nim. Pochodzi on z powiatu lidzkiego i jest synem średniéj fortuny właściciela ziemskiego. Po odbyciu nauk szkolnych, pojechał za granicę; tam zabrał się gorliwie do szewstwa, pracował nad niém we Wrocławiu i Berlinie, a obecnie od kilku lat ma warstat w Wilnie i może się uskarżać chyba na zbytnią ilość klientów. Piękny to wzór dla naszéj młodzieży, niewiedzącéj czego się chwycić, a wstydzącéj się handlu i rzemiosł.

Maszyny i narzędzia rolnicze dość obficie w Szawlach się zgromadziły. Panowie Lilpop, Rau i Löwenstein z Warszawy, Rokosz z Kowna, Draszkowski ze Żmujdzi, Charisius z Królewca, Czechowicz z pow. święciańskiego, Wärmcke ze Św. Siekierki (Heiligenbeil) i kilku innych przysłali wszelkiego rodzaju narzędzia rolne, od drobnéj ręcznéj młockarni, aż do ogromnych siewników i żniwiarek. Miło nam było oglądać szczególnie wyroby tego rodzaju krajowe; codzień więcéj wierzymy, iż z czasem wyzwolimy się z konieczności nabywania ich od cudzoziemców. Komitet wystawy przysądził srébrne medale panom Lilpopowi i Sp., Sternkopfowi za młockarnię i Mich. Podbereskiemu za wyrób kół mechaniczny, z zakładu imienia Heleny; innym wystawcom przeznaczył kilka medali bronzowych i listów pochwalnych.

Z wyrobów mających związek z rolnictwem wymieniam: papkę na papiér z drzewa osikowego, dostarczoną z Kiejdan przez generała Todtlebena, zaszczyconego za nią dyplomem na złoty medal; mnóstwo ładnych tkanin z wełny i bawełny, jako-to tak zwanych czerkasów, płócienek, sukien cieńszych i grubszych, chustek wielkich, pledów i t. d., wystawionych głównie przez wieśniaczki i mieszczanki żmujdzkie. Wyroby te nietylko ładnie wyglądają, ale w noszeniu są trwałe i zasługują, aby panowie kupcy warszawscy i zacne Warszawianki zwrócili na nie uwagę, bo są istotnie dobre, ładne i tanie. Komitet wystawowy rozdawał dla zachęty po 10 do 15 rubli osobom które tę gałąź miejscowego przemysłu pielęgnują. Zasługują także na wspomnienia dobre sznury, szpagaty i robiona z nich uprząż na konie. Niemało wystawiono też dywanów i wielkich chustek, wyszywanych włóczką; widzieliśmy również ręcznéj roboty wcale udatne kapy na łóżka, dywany ze słomy przetykanéj nićmi, koronki białe i czarne, nader delikatne i ozdobne, wyszycia kwiatów i liści z włosów ludzkich, wreszcie bardzo gustowne ramki do fotografij, z płatków szyszek sosnowych pokléjone. Pomiędzy dywanami odznaczały się wyrabiane zapomocą naszywania drobnych kawałków sukna na tło, według danych rysunków, pracy pani Girdwojniowéj, któréj też przysądzono medal. Gliniane wyroby z Aleksandryi, z folwarku hr. Zubowa, wzorowo wypalone węgle i okaz mąki kościanéj p. Draszkowskiego, torf preparowany barona Behra, różne napoje, jak piwo z zakładów hr. Zubowa, p. Blumenthala z Kowna, baronów Roppa i Wolffa, wino szampańskie z soku brzozowego (tak!) i inne musujące płyny wyrobu p. Aleks. Jelskiego (znanego literata z Zamościa w gub. mińskiéj), wódki i likiery pana Georgi z Mitawy, oraz dwóch wyżéj wymienionych baronów, uzupełniały skromny obraz przemysłu miejscowego.

Najbardziéj jednakże zajęły wszystkich ciekawe wystawy sztucznéj hodowli ryb, pszczolnictwa i drenowania, panów Girdwojniów i Dłużewskiego.

Pan Michał Girdwojń, znany w literaturze francuzkiéj i polskiéj autor wzorowéj monografii pszczoły, wysoce cenionéj przez znawców, a poleconéj przez ministerstwo oświaty we Francyi do używania przy wykładach entomologicznych, serdecznie oddany swéj specyalności, dla któréj niemało podróży po Europie, studyów i mozołu po-

święcił, w ostatnich czasach postanowił zbadać do gruntu inną jeszcze gałąź przemysłu, mianowicie ryboznawstwo, i w tym celu spędził długi czas w angielskich, francuzkich, belgijskich i niemieckich zakładach rybnych, przywożąc do kraju znajego systemu, popiérając wykład okazywaniem odpowiednich przedmiotów. Komitet wystawy, uznając niezwykłe zasługi pana Girdwojnia, nagrodził go złotym medalem.

Brat pana Michała, pan Kaźmirz, znany komitą w tym zawodzie naukę. Przy poprzecznéj ścianie domu wystawowego rozmieścił on bogatą wystawę przyrządów i okazów, mających związek z gospodarstwem rybném, a licznie i ciągle koło nich zgromadzonéj publiczności z niezmordowaném poświęceniem objaśniał główne zasady swo- w Niemczech i u nas autor pracy przedstawiającéj poglądową klasyfikacyą roli, obecnie oddany wyłącznie drenarstu, urządził w Gubernii, folwarku hr. Zubowa, na dość znacznéj przestrzeni rury sącznicze, a wystawę zbogacił okazami drenarstwa, za co medalem odznaczony został.

Pan M. Girdwojń, wspólnie z panem Brunonem Dłużewskim z królestwa, urządzili śliczną pasiekę pszczolną, w parku przytykającéj do Szawel rezydencyi hr. Zubowa; tam po cztéry godziny codziennie okazywali i objaśniali ciekawym główne zasady życia, obyczajów i mieszkań pracowitych pszczółek. Oglądaliśmy tam wszystkie możebne ule i przyrządy do bartnictwa należące, ciesząc się że praktyka idzie ręka w rękę z teoryą, bo w niewielkim pokoiku domku pasiecznego zauważyliśmy i sporą bibliotekę, złożoną

Mieszczanin z Białogrodu. 244

Mieszczanin z Polanki. 245

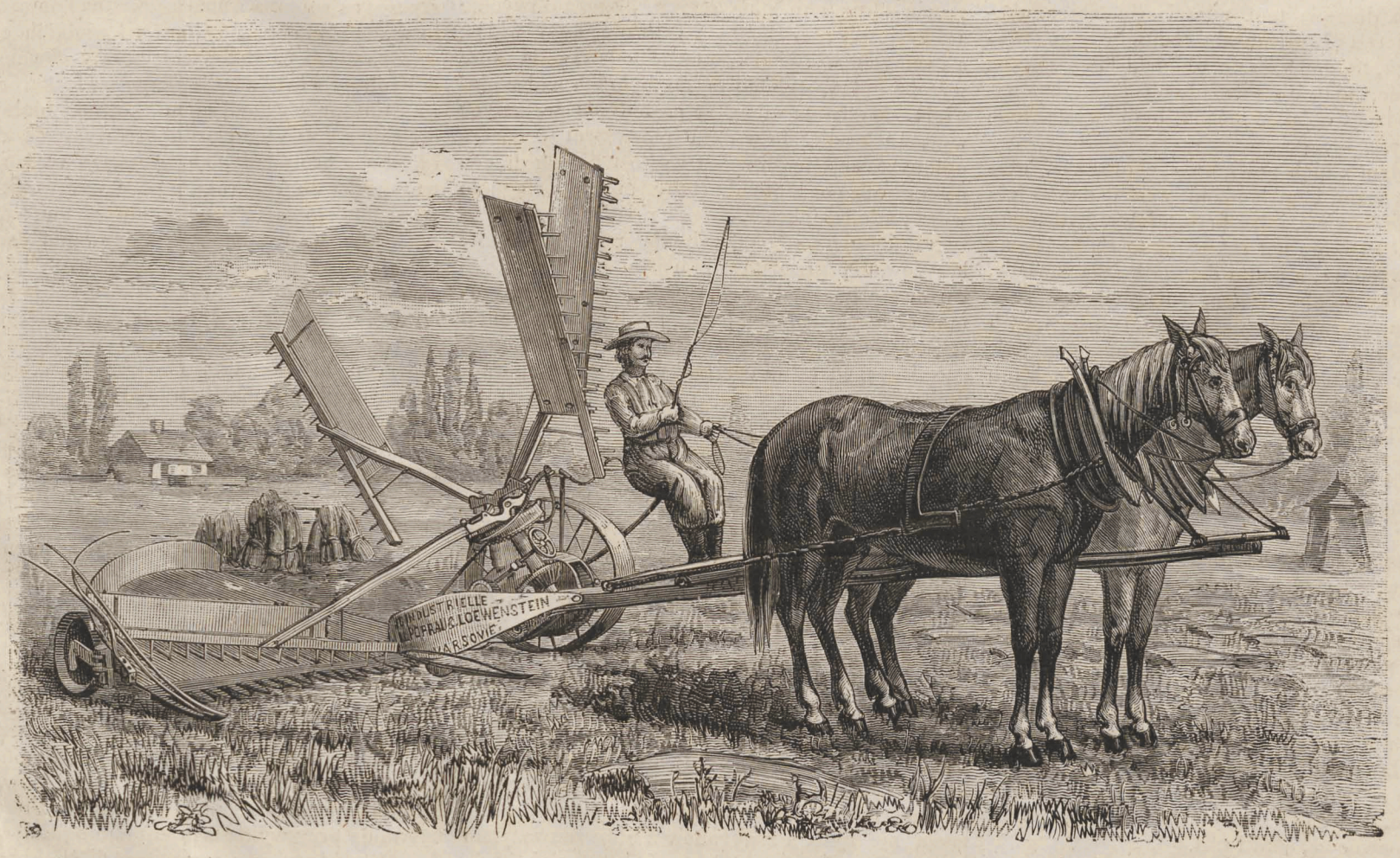

Żniwiarka polska p. p. Lilpop, Rau i Loewenstein, nagrodzona medalem srébrnym na wystawie rolniczéj w Szawlach. 246

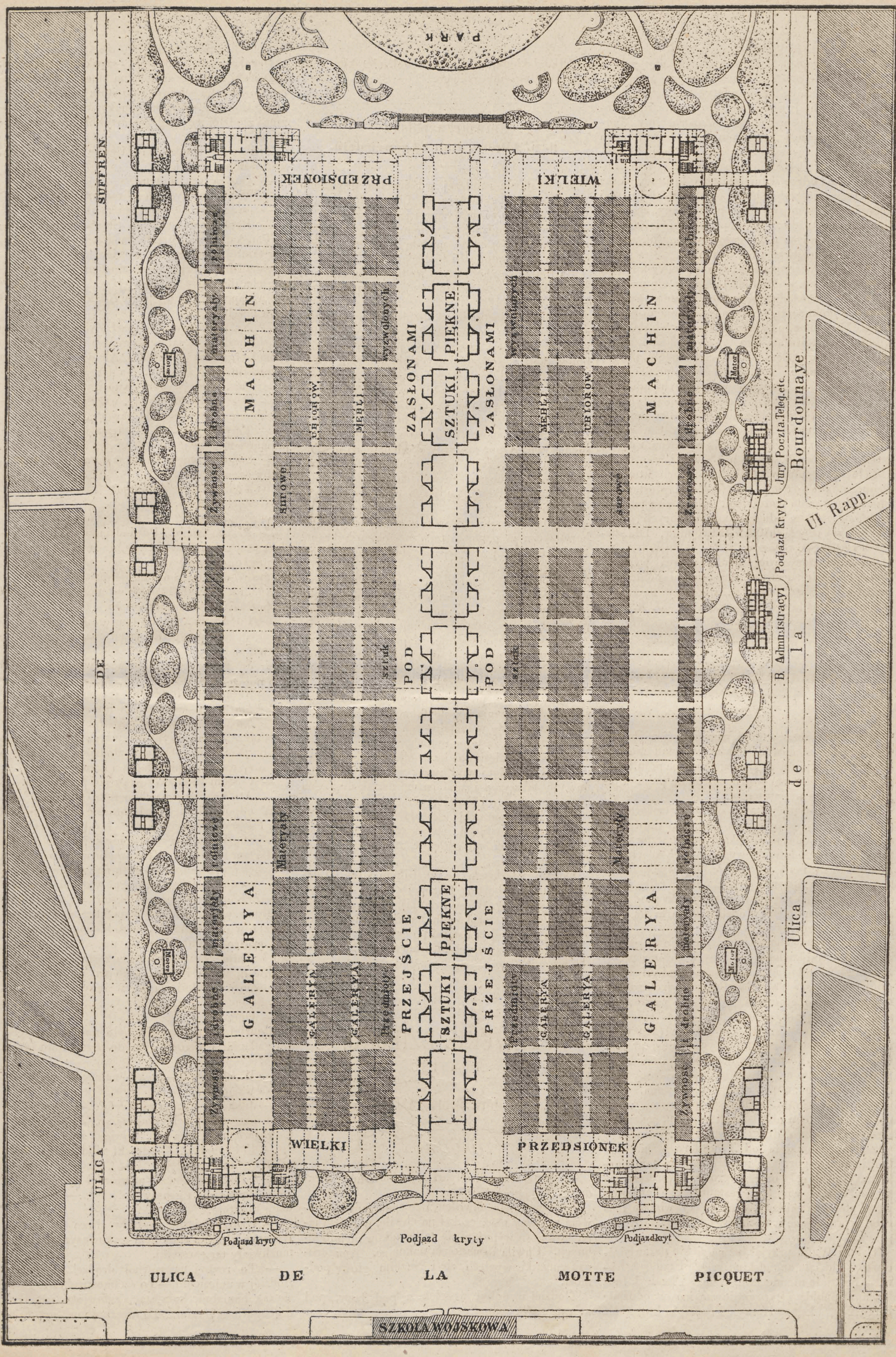

Plan gmachu wystawy powszechnej, odbyć się mającej w Paryżu w r. 1878. Fototyp Ludwika Krakowa.

z dzieł i czasopism botanicznych. Ustne objaśnienia, udzielane przez p. Dłużewskiego, przekonywały słuchaczów, że uprzejmy ten organizator rzeczypospolitéj pszczolnéj doskonale i gruntownie zna swoję specyalność. Zazdrościmy Warszawie, że panów Girdwojniów i Dłużewskiego nam zabiéra, ciesząc się jednak nadzieją, że niepospolite ich uzdolnienie znajdzie tam obszérniejsze i odpowiedniejsze pole do pracy, oraz że w razie potrzeby będą się udzielali i naszéj prowincyi; jestem bowiem przekonany, że niejeden z gości, widząc naoczne wyniki i korzyści tych zaniedbanych u nas gałęzi przemysłu, zachęci się do zastosowania ich u siebie.

Każdego wieczoru podczas wystawy młodsza i weselsza część publiczności zbiérała się na bale, a dnia 14 września przeszło 300 osób zgromadziło się na koncert, urządzony staraniem p. Ludwika Ejchmana, na rzecz niezamożnych uczniów gimnazyum szawelskiego. Pan Ejchman, znany dobrze Wilnu artysta i nauczyciel muzyki, piękną grą na wiolonczeli przyczynił się do przekonania publiczności, że nietylko w wielkich miastach i wielkich salach słyszéć można prawdziwie dobre wykonanie. Wspólnie z nim hrabianka Bobryńska ślicznym swym kontraltowym głosem, znany Warszawie p. Michał Jelski wprawną i czystą grą na skrzypcach, oraz p. Sawicki wzorowém i pełném zapału wykonaniem trzech utworów Szopena, prawdziwéj przyjemności dostarczyli słuchaczom, a co ważniejsza, ofiarą swą przyszli w pomoc ubogim młodzieńcom, z których grona obyśmy się więcéj takich Girdwojniów, Dłużewskich i Skinderów doczekali.

Kończąc, złożyć winniśmy zarządowi wystawy podziękowanie, za bezinteresownie poniesione trudy w jéj urządzeniu i za wzorowy porządek, jaki na niéj panował. *J. K.*

Wystawa powszechna paryzka

w roku 1878.

Komisya wystawy międzynarodowéj w Paryżu zatwierdziła niedawno ostatecznie plan gmachu i galeryj jego, wznieść się mających na polu Marsowém. Zamieszczamy drugostronnie przerys tego dokumentu urzędowego.

Całość planu przedstawia olbrzymi czworobok, którego lewą połowę zajmie Francya, prawą zaś oddziały zagraniczne. Rozkład wewnętrzny i pomieszczenie przedmiotów wystawowych we wszystkich działach będą jednakowe. Galerye przerzynają gmach w kierunku podłużnym. Skrajna przeznaczona jest na maszyny; następna na płody surowe; trzecia na meble i odzież; czwarta na okazy sztuk wyzwolonych.

Sztuki piękne znajdą pomieszczenie w galeryi środkowéj, oddzielonéj od innych dwoma przejściami niekrytemi, lecz ubezpieczonemi od niepogody za pomocą stosownie urządzonych zasłon. Galerya ta, obejmująca jedenaście pawilonów, rozdzieloną będzie jak następuje: część rezerwowana (1 pawilon); sztuka zagraniczna (2 pawilony); wystawa dzieł znakomitszych z muzeów prowincyonalnych (3 pawilony); sztuka francuzka (2 pawilony); sztuka zagraniczna (2 pawilony dalsze); i wkońcu znowu część rezerwowana. Dwa wielkie przedsionki, ozdobione posągami, urządzone zostaną po obu bokach gmachu, jeden od strony Trocadero, drugi od szkoły wojskowéj.

Za przedsionkiem od Trocadero wzniesiony będzie taras, górujący nad założonym tam parkiem. Gmach cały otoczą ogrody, mieszczące zarazem domki wiejskie, restauracye, kawiarnie i tym podobne zakłady, oraz cztéry wielkie motory, wprawiające w ruch wszystkie maszyny wystawy.

Książę Walii przyjął już na siebie przewodnictwo w oddziale angielskim; książę Fryderyk Karol w oddziale niemieckim. Książę Flandryi, brat króla Leopolda II, prezydować ma w oddziale belgijskim, a książę Henryk Fryderyk, brat króla niderlandzkiego, w oddziale holenderskim i w. księztwa luksemburskiego.

Żniwiarka polska

p. p. Lilpop, Rau i Loewenstein.

Na wystawie rolniczéj w Szawlach przyznano medal srébrny żniwiarce pp. Lilpop, Rau i Loewenstein. Była to najwyższa i jedyna nagroda, udzielona tego rodzaju maszynom, gdyż na ekspozycyi szawelskiéj złote medale tylko najlepszym okazom ziemiopłodów i bydła przysądzano.

Żniwiarkę tę zbudowano wedle wzoru Samuelsona, ulepszając go i zastosowując do potrzeb krajowych.

Mianowicie zastąpiono koło obiegowe lane, lżejszém, szérszém, o większéj średnicy a równéj trwałości kutém, zmniejszając przez to zagłębianie się koła w roli pulchnéj i ujmując mu ciężaru. Używanie kutego żelaza w miejsce lanego i inne poprawki zmniejszyły wagę całéj maszyny o 3 centnary, w porównaniu ze żniwiarką Samuelsona, bez krzywdy dla jéj trwałości.

Przewody ruchowe usunięto za obręb koła obiegowego. Opór maszyny skupia się na małém, zębatém kółku, które w razie zużycia wyjąć i nowém zastąpić można, co wypada łatwiéj i taniéj, niż zmiana wielkiego, zębatego obiegowego koła, gdy ono się zużyje.

Całe zazębienie zawarto w skrzynce prawie hermetycznéj, panewki zaś zastąpiono buksami. Piasek nie może więc wpadać do zazębienia i niszczyć go, mieszając się z oliwą.

Ruch grabek, złożonych z cztérech ramion, jest niezależny od ruchu noży. Za potrąceniem pedału pod swą stopą, może woźnica dowolnie podnieść każde ramię i zmienić zagarniacza na zgarniacza, lub odwrotnie. Zapomocą rączki umieszczonéj obok siebie, zsuwa on i rozsuwa kółka, dowolnie wstrzymując lub puszczając w ruch części wykonawcze (noże i grabki).

Palce pod nożami zaokrąglono, w celu łatwiejszego ich ślizgania się po gruncie kamienistym. Osie obracają się w metalowych nasadach, które zdjąć i nowemi zastąpić można.

Dyszel przeniesiono ku środkowi cięcia, pomost zaś odsunięto wtył, przez co zachowano równowagę maszyny i zmniejszono nacisk dyszla na konia naręcznego i karki koni.

Te i inne poprawki zalecają maszynę polską przed amerykańskiemi, zwłaszcza gdy w trwałości i pokaźności nie ustępuje zamorskim swym rywalkom.

Dodamy nawiasem, że pp. Lilpop, Rau i Loewenstein są jedynymi Europejczykami (z wyjątkiem wynalazcy Warszawianki), konkurującymi w Filadelfii z Amerykanami na własnéj ich ziemi, w gałęzi z któréj ci ostatni po całym słyną świecie. Żadna firma angielska, francuzka lub niemiecka nie odważyła się na krok podobny.

S. W.

SZEWCKIE DZIECKO,

POWIEŚĆ

przez

Teodora Tomasza Jeża.

(*Dalszy ciąg.*)

— Wola wasza... odparł Nuchim i znów w zadumę się pogrążył.

Z wzorową cierpliwością i ze spokojem wzorowym znajomy nasz czekał na chwilę, w któréj izba szynkowa wypróżni się ze świadków niepotrzebnych. Chwila to nadeszła nakoniec. Amatorowie gorzałki wynieśli się i Nuchim głowę podniósł.

Złodziéj wydobył węzełek z pod ławy, pod którą go był wsunął.

Szynkarz się podniósł, szynkwas otworzył, drzwiczki kraciane za sobą na klucz zamknął, klucze do kieszeni schował i do stołu podszedł.

— Rądelek, czerpaczek, nakrywa i czajnik...— rzekł złodziéj, rozkładając artykuły te obok siebie na ławce.

Żyd oczy zamknął i kiwając lekko głową, wargę dolną wydął.

— Cóż za to?... zapytał.

— Wedle taryfy... Ja z bractwa.

— Ja was widzę po raz piérwszy.

— Bom praktykował na Starém mieście, ulice Pańska, Długa, Strzelecka, Kocia, Kapuściana, a w tamtéj stronie, jak wiécie, handiują Lejzer i gruba Mordkowa... Przeniosłem się na przedmieście, dla świéżego powietrza... Gruba Mordkowa zapewniła mnie, panie Nuchim, żeście człowiek uczciwy.

— Ny... uczciwy...—odparł Żyd ze znaczącém ust skrzywieniem, jakby wyraz ten wzgardę w nim wzbudzał. Płacę gotówką... Ale co do taryfy, ta w mieście tylko znaczy... Na przedmieściu... jaka tu taryfa?.. Albo ja wiem co to warto?...

— Trzy ruble najmniéj... wszystko nowe, ciężkie, miedź czysta, pobiala nawet świéża...

— Trzy ruble?... aj!...—skrzywił się Żyd, ramionami wzruszając.

— Szkoda, żem kotlarza w domu nie zastał.... byłby oszacował.

— Zachodziliście do niego?

— Zachodziłem.

— Ny... i poco?

— Przypadkiem... Powiedziano mi, że tu kotlarz przez sień mieszka, ale nie wiedziałem czy na prawo, czy na lewo... Wziąłem się w sieniach na prawo i kotlarza nie zastałem.

Nuchim milczał, błądząc od niechcenia okiem po postaci interlokutora swego.

— Poczekam... dodał ten ostatni. Kotlarz oszacuje, gdy przyjdzie, jeżeli go zapytacie co to warte.

— Ja pytać tego łajdaka?... wstrząsnął Żyd głową, z gestem przéczenia.

— Natknąłem się tam na znajomego...

— Marcin?..—zapytał Nuchim.

— Nie... Student, brat majstra.

Oblicze Żyda przybrało wyraz głębokiéj pogardy. Nie uszło to uwagi złodzieja, ciekawego z natury rzeczy, z powołania i rzemiosła.

— Cóś oni wam do smaku nie przypadają.

— At... machnął Nuchim ręką. Gałgany!

W odpowiedzi téj zawiérało się odsądzenie od czci i wiary ludzi, co przez lat dwa drzwi we drzwi naprzeciwko rynku mieszkając, nie wypili wódki ani kiéliszka. Było to zbrodnią w oczach człowieka, prowadzącego czynność swoję społeczną za pomocą wódki. Przytém w gronie tém widywał chłopca młodego nad książką. Co ten chłopiec znaczył? Co znaczyły książki te, nad któremi ślęczył, w obec talmudu, ześrodkowującego w sobie mądrość całą? Zbrodnia przeto, w mniemaniu Nuchima, łączyła się tam z głupotą i nie zasługiwała na co innego, jeno na wzgardę, przy niemożności dotknięcia jéj w inny sposób. Machnął więc ręką i rzekł:

— Gałgany!

Złodziéj poznał, że nie było z nim w materyi téj gadania. Powrócił więc do przedmiotu głównego.

— Wedle taryfy—rzekł—należy się mi część szósta wartości.

— Jaka taryfa?.. co za taryfa?...—odparł Żyd, brwi marszcząc i rękę podnosząc. Ja nic o taryfie nie wiem,.. Co za to?... powiész asan i kwita...

— Pół rubelka... —odrzekł złodziéj. — Trzy złote i groszy dziesięć.

— Groszy dziesięć..—powtórzył Żyd.

— Trzy złote i groszy dziesięć...—rzekł złodziéj dobitnie.

— Groszy dziesięć...—były słowa Żyda, wyrzeczone z takim spokojem stanowczym, że uniemożliwiały targ wszelki.

— To rozbój na równéj drodze!...—zawołał złodziéj w uniesieniu.—To szelmostwo!.. Nie godzi się tak haniebnie korzystać z człowieka, przychodzącego w zaufaniu!... To nieszczęście w żydow-

skich być rękach!... drą ze skóry bez litości, bez sumienia!... Człek się naraża i pracuje dla Żydów i na Żydów!.. Kiedyż się uwolnimy od téj plagi, od tych pijawek, co krew z nas ssą?... O!...

Nuchim słuchał przymówek tych z obojętnością jaknajzupełniejszą. Ani jeden muskuł twarzy jego nie drgnął. Wyrazy słyszane obijały się o niego, jak groch ręką dzieciaka na ścianę rzucany.

— Dwa złote i niech cię diabli biorą!

— Dziesięć groszy...—odparł Nuchim obojętnie.

— Złoty!

— Dziesięć groszy.

— Dorzuć co!.... — zawołał złodziéj rozpaczy głosem.

— Dziesięć groszy i wódki kieliszek.

— Dawaj!... pal cię diabli!.. bodajżeś się udławił krzywdą moją!...

W chwilę późniéj Nuchim kieliszek pełny na stole stawiał i piéniądze wyliczał. Wyliczywszy, zapytał:

— Jak wam na imię?

— Onufry Trznadel...—odparł zapytany.

— Ćnadel... git..—rzekł Żyd.—Jeżeliby było co nowego, panie Ćnadel, to wiécić już, że wchód do mnie na prawo, nie na lewo.

— Zdrowie!...—odrzekł złodziéj, niosąc kieliszek do ust.—Na pohybel Żydom!..

Wypił, skrzywił się, usta odwrotną dłoni stroną obtarł i wyniósł się.

Kaźmirz zdał egzamin świetnie. Po akcie uroczystym, odbytym z okazyi zamknięcia roku szkolnego, unosząc pod pachą książki które w nagrodę otrzymał, zawołanym został przez pedela do dyrektora. Domyślił się o co chodzi, nie spodziéwał się jednak, że przedstawionym zostanie ojcu owego trzecioklasisty, do którego dyrektor zamówił go przed tygodniami kilku i który powitał go serdecznem dłoni uściśnieniem, mówiąc:

— Musiałeś pan miéć powinszowań bez liku od kolegów i nauczycieli, przyjm-że je i odemnie... Winszuję jednak i sobie przykładu, jaki syn mój będzie miał przed oczami... Spodziéwam się że znajomość nasza będzie początkiem stosunków stałych na długo.

Dyrektor dodał ze swojéj strony, że się spodziéwa iż Kaźmirz zaufaniu temu godnie odpowié.

Jegomość rzekł że o tém nie wątpi i zaprosił Kaźmirza ze sobą. Wyszli razem z gmachu szkolnego i wsiedli do pojazdu, który zawiózł ich do jednego z hoteli piérwszego rzędu. Godzina była południowa.

— Poczekamy na Frania...—odezwał się jegomość.—Gdy przyjdzie, zjemy razem śniadanie, a nim przyjdzie, pomówimy ze sobą... Życzę sobie znaléźć w panu człowieka, któryby, pomagając synowi memu w naukach, służył mu zarazem za przykład... Ani ja nie wiem, ani pan nie wiész, czy będziesz człowiekiem takim... To zależy... Ja atoli przypuszczam w panu chęć wywiązania sie snmiennie z przyjętego na siebie obowiązku, opiérając przypuszczenie moje na dowodach, jakie składasz zapomocą uczenia się własnego... Czy i pan chęć tę w sobie przypuszczasz?

— Zdaje się — odpowiedział Kaźmirz, zapytaniem tém zakłopotany nieco.

Jegomość popatrzył mu uważnie w oczy i rzekł wpół do siebie, wpół do niego:

— To dobrze... Wiész pan już tedy, co się mnie od pana należy; wiedziéć teraz powinieneś, co się odemnie należy panu... Należy się panu odemnie: szacunek i wynagrodzenie piéniężne, piérwszy w rozległości takiéj, jakbyś był synem moim, a co się drugiego tyczy, jak pan chcesz: czy ja mam proponować?.. czy zaproponujesz sam?...

— Wolę, żeby propozycya wyszła od pana.

— A więc: za czas wakacyj rubli sześćdziesiąt, jeżeli zaś sobie podobamy się wzajemnie i pan przy synu moim nadal pozostaniesz, płacić się zobowiązuję dukatów sto i dawać utrzymanie całkowite... Zgoda?...

— O zgoda!..—odparł Kaźmirz, któremu słowa te sprawiły w uszach dziwny jakiś szmer.

— Pod utrzymaniem—ciągnął jegomość—rozumiem pomieszkanie z opałem, światłem, opraniem bielizny, obsługą i pożywieniem...

— Zgoda...—powtórzył Kaźmirz.

— Chodzi więc o to tylko, ażebyśmy się sobie wzajemnie podobali.

Gdy słów tych domawiał, wszedł chłopak lat trzynastu, budowy szykownéj, ale miny rzadkiéj nieco.

— Oto uczeń i towarzysz pański...—rzekł jegomość—pan Franciszek, który się na egzaminach popisywał nieosobliwie.

— Bo... to.... —odparł chłopak—egzaminów tak surowych nie bywało nigdy jeszcze...

— Spodziéwać się zawsze należy jaknajsurowszych...—odparł ojciec.

— Uczeń, choćby niewiedziéć jak był przygotowany, to go profesor złapać może, jeżeli chce.

— Zdaje się więc tobie, że profesorowie złapać cię chcieli?

— Nie mówię tego... ale.... no... promocyą jednak dostałem.

— Mnie nietyle idzie o twoję promocyą, ile o to, ażebyś umiał czego się uczysz; dlatego wezwałem pana Odrębskiego, przy pomocy którego dopełnisz, w czasie wakacyj, braki w głowie, ażebyś miał ułatwioném słuchanie przedmiotów w klasie czwartéj.

Młodzi ludzie spojrzeli jeden na drugiego i oczami się zmierzyli. Zachodziła pomiędzy nimi różnica wieku znaczna. Franio miał lat trzynaście; Kaźmirz zaczynał rok osiemnasty. Różnica ta znika późniéj; w owéj jednak chwili jeden był jeszcze dzieckiem, drugi już młodzieńcem. Spojrzenia, jakie na siebie zwrócili, przyniosły piérwsze owo wrażenie, które rozstrzyga często o stosunkach późniejszych. Wrażenie to było dobre. W oczach Kaźmirza malowała się życzliwość, do jakiéj usposobił go ojciec Frania; oczy Frania strzeliły wyrazem uszanowania, do jakiego skłoniła go głośność w obrębie szkoły imienia Odrębskiego, ucznia celującego. Ojciec śledził, jak się zdaje, spojrzenie to piérwsze.

— Nie znacie się?...—zapytał.

Jeden i drugi odpowiedzieli przecząco.

— Pójdźmyż na śniadanie... po śniadaniu zaś, jeżeli pan Kaźmirz zbierze się na pociąg wieczorem odchodzący, to pojedzie z nami; w razie przeciwnym, ja z Franiem pojedziemy dziś, pan zaś jutro lub pojutrze, tylko wiedziéćbym chciał zgóry, którym pan pociągiem wyruszy, ażeby módz po pana konie na stacyą wystać.

— Zbiorę się na pociąg wieczorny dzisiejszy... — odparł Kaźmirz.

— Tém lepiéj.... No pójdźmy, moi panowie.

Jegomość i dwaj młodzi ludzie przeszli do sali jadalnéj. Dla bohatéra naszego była to rzecz wcale nowa, siedziéć za stołem nakrytym wykwintnie i zastawionym porcelaną i kryształami. Nie umiał się znaléźć. Był niezgrabnym trochę. Ojciec Frania atoli, jakby znając tę młodego człowieka stronę słabą, umiał go ośmielić i niezgrabność jego zamaskować. Śniadanie składało się z potraw prostych—bifsztyk, jarzyna, na wstępie marynata jakaś, a na zakończenie sér szwajcarski i piwa butelka—których spożywanie nie wymagało takiéj umiejętności szczególnéj, jak na przykład dania w konchach, papilotach, w pasztetach, muszle, krewety, pająki i t. p. Śniadanie to więc nie zabrało czasu dużo, a pozwoliło Kaźmirzowi przypatrzyć się człowiekowi, z którym go los zetknął. Za punkt wychodni w przypatrywaniu się, albo raczéj za pobudkę i podnietę, posłużyło mu zapytanie:

— Jak téż się ten pan nazywa?

Dyrektor, przez zapomnienie snadź, nie powiedział mu tego. Pytać o to jego samego wydawało się bohatérowi naszemu rzeczą niewłaściwą. Przypatrywał się więc i wchłonął niejako w duszę rysy postaci przedstawiającéj się dwojako, inaczéj na piérwszy rzut oka, inaczéj po rozpatrzeniu się bliższém. Na piérwszy rzut oka było w niéj cóś odtrącającego: oblicze surowe, brwi najeżone, oczy w głębi, faworyty rudawe, włosy blond, krótko przystrzyżone, wzrost więcéj niż mierny i kompleksya muskularna, nie wywiérały na widzu wrażenia pociągającego. Ale dość było pobyć z nim chwilę, a wnet wrażenie pierwotne ustępowało miejsca wręcz przeciwnemu. Uczuwało się pociąg sympatyczny, wyradzający zaufanie i tłumaczący się w sposób następny:

— To człowiek seryo... na słowie jego polegać można.

Przytém człowiek ten nie miał w sobie nic pańskiego, to jest nic takiego, coby chłodem zdaleka wiało i w oddaleniu trzymało, wzbudzając tak zwane uszanowanie, będące nie uszanowaniem, lecz poprostu wstrętem, przerobionym przez konwenans w bojaźń. Ojciec Frania nie wzbudzał bojaźni tego rodzaju. Przeciwnie: wzbudzał ufność tak wielką, że po przebyciu z nim chwil kilku, chciało się przed nim spowiadać. Kaźmirz przy śniadaniu czuł się z nim jak z równym sobie, ale kto on taki, nie wiedział.

Była chwilka, w któréj wydało się mu, że się dowié. Do sali jadalnéj wszedł jegomość jakiś poważny, powiódł okiem po stolikach i zoczywszy ojca Frania, zbliżył się z oznakami uradowania.

— Pana dobrodzieja!... O, jakżem ze spotkania niespodzianego szczęśliwy!... Witam!... Jakże zdrowie?

Przywitali się; Kaźmirzowi wydawało się, że przybyszowi wymknie się nazwisko, lecz to nie nastąpiło. Przybysz, po zapytaniu o zdrowie, pytał o córeczkę. Student nasz dowiedział się tedy, że ojciec Frania jest oraz ojcem córeczki, któréj na imię Helcia. Zanotował sobie imię to w pamięci i słuchał daléj.

— Pan dobrodziéj zabiéra syna na wakacye?...—były słowa jegomości poważnego.

— A tak... I pan dobrodziéj zapewne także nie w celu innym.

— A i ja zabiéram Tadzia swego... — odparł przybysz tonem humoru niekoniecznie dobrego.— Zabiéram i już go przywozić nie myślę.

— Czemu?...—zapytał ojciec Frania.

— Proszęż pana dobrodzieja... — zabrzmiała odpowiedź głosem irytacyą nabrzmiałym. — Najważniejszém, według mnie, edukacyi zadaniem być powinno wpajanie w umysły młodzieży poczucia sprawiedliwości... Ja płacę i płacę.. Tadzio u profesorów wszystkich bierze lekcye prywatne... i zostawiają go w klasie czwartéj na rok trzeci... Jest-że to sprawiedliwość?... Za cóż ja płacę?... Gardłują o tę edukacyą... pisma wszystkie rozpisują się o niéj do znudzenia... a po szkołach niesprawiedliwość panuje... Rozmówiłem się o tém z dyrektorem ostro i... zabiéram Tadzia.

Ojciec Frania skrzywił się jakoś na te słowa, chrząknął głośno i odrzekł:

— Wszakżeż na tém wyjdzie najgorzéj pan Tadeusz.

— Eh... proszę pana dobrodzieja!... Uczonym nie będzie, oto strata cała... Uczoność ostatecznie nie jest niezbędną, ani do zbawienia duszy, ani do zarządzania majątkiem...

— Zapewne... nie przeszkadza jednak—odrzekł ojciec Frania z uśmiéchem, po którym wnet przybrał wyraz twarzy surowy.

— Mnie zaś chodzi nie o to, co nie przeszkadza, ale o to co pomaga.. — podchwycił ojciec niefortunnego czwartoklasisty, i zmieniając przedmiot rozmowy, zapytał, biorąc jadłospis do ręki:— Cóż tu dziś mają?... Ostrygi... czy świéże?.

I nie czekając na odpowiedź, na garsona zawołał:

— Ostryg, jeżeli świéże!

— Prosto z morza!... dzisiejszym pociągiem z Ostendy!... piszczą w zębach!...

— Dasz mi więc ostryg tuzin i do ostryg wina białego, tylko dobrego.

— Haut Sauterna...—podpowiedział garson.

— Z którego roku?

— Z roku tysiąc osiemset cztérdziestego ósmego... lat cztérnaście w butelkach... pieczęć błękitna... korek patent...

— Dobrze... a daléj?... cóż tam macie więcéj?... szterlet z białym sosem...

(Dalszy ciąg nastąpi).

Kopernik jako ekonomista.

(*Dalszy ciąg*).

Piérwsi, którzy doniosłością faktów uderzeni, zwrócili swą uwagę na ważne zadanie ekonomii i w pewnym stopniu potrafili odczuć metodę téj nowéj nauki, po długiém kombinowaniu różnych żywiołów, z poznanych szczegółów wyprowadzając wzniosłe zasady—ani cieszyli się zasłużoną chwałą, ani téż spółcześni umieli ocenić wielkość ich dzieła w położeniu piérwszych podwalin nauki, i dopiéro dalekie pokolenia należycie ich nagrodziły. Pomimo gorącéj chęci uczczenia jaknajbardziéj Kopernika, nie mogę tu pominąć téj uwagi, iż nie był on piérwszy, który traktował monetę ze stanowiska ekonomicznego. Ale to bynajmniéj nie ubliża oryginalności jego dzieła, które, zdaniem Wołowskiego, przewyższyło pomysły wszystkich poprzedników. Aby ocenić należycie doniosłość takowego, porównać je trzeba z poprzedniemi pracami, a wtedy naocznie się przekonamy, ile i nauka ekonomii zawdzięcza Kopernikowi.

Przez długi czas historycy chwałę piérwszeństwa w zajęciu się kwestyami ekonomicznemi przypisywali Italii, a dzieła Scaruffi'ego, Davanzati'ego, Botera i Serry (1582—1583—1588—1599) uważano za piérwsze téj nauki objawy; ale niestety, odkrycia i prace Roschera, Wołowskiego, Baudrillart'a, Ferrary i Contren'a wykazały bezzasadność powyższego twierdzenia. Gdybyśmy nawet chcieli ulotnym zdaniom i ustępom ekonomicznéj natury, z jakiemi się w wielu dziełach italskich spotykamy, przypisać zasługę piérwszeństwa, jednak nie ostoi się to twierdzenie, najpierw dlatego, że i w starożytnych pisarzach, jak w Platonie, Xenofoncie, Arystotelesie, Cyceronie, Pliniuszu, Wirgiliuszu i t. d., znajdujemy wiele jasnych i dokładnych teoryj ekonomicznych, następnie zaś dlatego, że dopiéro w XIV wieku ukazało się piérwsze dzieło czysto ekonomicznéj natury.

Rzeczywiście w tym wieku Mikołaj Oresme (1) biskup z Lisieux, nauczyciel i doradzca Karola V króla francuzkiego, napisał dzieło *De origine natura, jure et mutationibus monetarum*, ogłoszone i objaśnione przez panów: Meunier, Lecointre-Dupont, Roschera i Wołowskiego. Dzieło to, podobnie jak praca Kopernika, z dwóch względów zasługuje na uwagę: pod względem historycznym przedstawia wierny obraz wszystkich mądrych rozporządzeń króla, aby spodlenie monet powstrzymać, a pod względem naukowym zawiéra zdrowy wykład prawdziwych zasad, dotyczących jednej z najważniejszych kwestyj ekonomii politycznéj. Aby rozstrzygnąć spór pomiędzy tymi, którzy broniąc przywileju monarchy, nadają mu władzę zmieniania podług widzimisię monety i ciągnienia ztąd zysków, a tymi, którzy zupełnie wykluczają podobną władzę, Mikołaj Oresme usiłuje przedstawić prawdziwe zasady, jakich pod tym względem dostarcza filozofia wogóle, a Arystoteles w szczególności. Dość jest wyliczyć tytuły 26 rozdziałów dzieła, w których kolejno rozbiérają się kwestye: jaka była przyczyna i jaki początek monety; z czego składać się powinna; jaki najwłaściwiéj kształt winna posiadać; do kogo należy prawo mennicy i pod jakiemi warunkami; szkody wynikające z alteracyi monety etc.—aby przekonać się z jakiém zamiłowaniem oddał się badaniu tego trudnego problematu, z samego początku jasno przezeń postawionego. Jeżeli baczyć będziemy na stan oświaty wieków średnich, w jakich żył Oresme, przyznać musiémy, iż dzieło jego jest znakomite i aby wytłumaczyć jego szczególne zalety, za Roscherem (2) powtórzyć „że w krytycznych właśnie chwilach, gdy cały organizm społeczny rozpada się i grozi zniszczeniem, obserwator najłatwiéj zbiéra zbawienną naukę, podobnie jak badania fizyologiczne najwięcéj postępują przy łożu chorego, lub przy stole prosekcyjnym, a nie w pracowni rzeźbiarza.“ Taż sama uwaga da się także zastosować i do dzieła Kopernika.

Innym pisarzem w kwestyi monetarnéj, prawie nieznanym jako ekonomista, jest Gabryel Biel (3), sławny jako scholastyk XV stulecia. W końcu swego życia ogłosił on dzieło: *Quaestio nona de monetarum potestate simul et utilitate*, które jest rozwinięciem zasad wyłożonych w jego *Collectorium sententiarum* i które w 47 lat po śmierci autora doczekało się drugiego wydania w Norymberdze 1542 roku. O dziele tém obszérnie traktował Roscher w swéj pracy *Ueber die Blüthe der deutschen Nationalökonomie im Zeitalter der Reformation* i prof. Henryk Contren w *Geschichte der volkswirthschaftlichen Literatur im Mittelalter*, ale pomimo tego imię Biela nie nabrało rozgłosu w świecie uczonym, ani téż nie uzyskało właściwego stanowiska pomiędzy dawnymi pisarzami o ekonomii politycznéj. Nie zdaje mi się aby zapomnienie to było słusznem, bo chociaż jego dzieło nosi właściwą cechę epoki i głównie wyjaśnieniu dogmatów jest poświęcone, zapominać nie należy, iż autor był teologiem, a pomimo tego z wielką dokładnością określił istotę monety. Sięga on bowiem do przyczyn i początku monety, aby oznaczyć prawdziwy jéj charakter i przeznaczenie, a wykazując różne sposoby jéj fałszowania, potępia tego rodzaju spekulacyą „*quia est furtum, quia ablatio rei alienae* (bo jest kradzieżą i zabraniem rzeczy obcéj). Rozbiérając Biel kwestyą, do kogo należy prawo bicia monety, przyznaje takowe monarsze, lecz równocześnie zastrzega, iż ono nie jest jego własnością, bo moneta, jako środek wymiany bogactw naturalnych, stanowi własność tych, do których owe bogactwa naturalne należą. Dla téj przyczyny potępia zmianę monety przez monarchę, jeżeli takowa nie ma na celu zniesienia fałszywych pieniędzy i wybicia innych o rzetelnéj wartości, albo téż wycofania z obiegu starych i zużytych przez czas, albo wreszcie uporządkowania systemu monetarnego, z powodu że cena metalu uległa zmianie. Nie podzielając bynajmniéj zapału piérwszych wydawców téj pracy, którzy ją nazwali księgą złotą, nie mogę jednakże zaprzeczyć jéj wielkiéj historycznéj doniosłości.

Krótka rozprawa *De monetae cudendae ratione* (O sposobie bicia monety) Mikołaja Kopernika, zdaniem mojém, odróżnia się od poprzednich dwóch prac swobodą traktowania i nic wspólnego nie ma ze staremi formami scholastycznemi. Gdyby nas nie ostrzegały imię autora, język w którym była napisaną, wreszcie daty i wypadki które ją wywołały, chętniebyśmy ją uznali za objaw myśli nowożytnéj. Kopernik różni się od tych, którzy dla znalezienia sobie przewodniéj myśli i dojścia do ostatecznych wyników, korzystają z każdéj sposobności, by czepiać się drobiazgowych szczegółów, bo z całą pewnością geniuszu prosto zmierza do celu, nie zatrzymuje się ani na chwilę i nie wymija trudności, ale owszem, sam je przewiduje, szuka, rozwiązuje zwycięzko i idzie daléj.

Wykazując przyczynę i piérwszy początek powszechnego środka wymiany, Kopernik w niczém nie zmienia nauki Arystotelesa, bo rzeczywiście gdy chodzi o tego rodzaju zjawisko pozytywne, nietylko starożytna, ale i nowożytna nauka traktuje je w tenże sam sposób. Gdy okazała się potrzeba ułatwienia wymiany, w sposób odpowiedni do nowych wymagań przemysłu i zwiększonych potrzeb handlu, już w najdawniejszych czasach pojęto pożytek przyjęcia za środek wymiany takiego przedmiotu, który bardziéj od innych jest poszukiwany i częściéj z innemi porównywany. Powtarzając porównanie Storcha, powiem tu, że jak matematycy dla dodania ułamków muszą takowe sprowadzić do wspólnego mianownika, tak téż i ekonomiści, dla określenia wartości rzeczy dotąd niepewnéj i nieoznaczonéj, musieli przyjąć powszechny próbierz —monetę.

W teoretycznym wykładzie Kopernik nawet się nie zatrzymuje nad szczegółowym rozbiorem pojedynczych zalet przedmiotu, mającego służyć za monetę, ale niemal każdy ustęp krótkiéj lecz głębokiéj jego pracy dowodzi, iż takowe pojmował tak dobrze i gruntownie, jak tego nauka wymagała.

Cenne kruszce, zostawszy narzędziem wymiany w krajach najbardziéj wykształconych, z początku były używane tylko w kształcie prostych sztabek. Widoczną jest rzeczą, jak słusznie zrobił uwagę Kopernik, że podobny kształt musiał być połączony z wieloma niedogodnościami, bo trudno było uniknąć najpierw różnicy w wadze, która pociągała za sobą wielką stratę w wartości; następnie skrupulatnie dokonać próby, dla zapobieżenia fałszerstwom, wreszcie dzielić je na małe części, odpowiednio do wartości różnych przedmiotów, jakie się dają i przyjmują wzamian. Ztąd nastał zwyczaj oznaczania pieniędzy znakiem mającym wyrażać ilość zawartego złota lub srébra i zarazem służyć za podstawę utrwalenia publicznéj wiary. „Potrzeba ustalenia monety, pisze Kopernik, jest konieczną, bo chociażby zamiana rzeczy odbywać się mogła podług saméj wagi złota i srébra, dla uniknienia jednakże wielkiéj niewygody, jakaby wynikła z ciągłego przenoszenia wszędzie wag, tudzież z powodu że niełatwo wszyscy poznają się na czystości złota i srébra, postanowiono monetę znaczyć publiczną pieczęcią, któraby wyrażała ilość zawartego złota i srébra.“

Przyjąwszy drogie kruszce za podstawę systemu monetarnego, przechodzi nasz autor do konieczności domieszywania do nich małéj ilości miedzi, aby tym sposobem zapewnić monecie wytrzymałość i trwałość, zastosować ją do najmniejszych zakupów, ochronić od wycofywania z kursu i przetapiania. Dzisiejsi nawet ekonomiści nie umieliby wskazać innych przyczyn mieszaniny kruszców nad te, które Kopernik wyliczył (4).

Państwo jest tą władzą, któréj społeczność cywilizowana powierza bicie monety, dlatego téż powinno ze skrupulatną dokładnością spełniać przyjęty przez siebie obowiązek i czuwać nad tém, aby każda sztuka rzetelnie miała tę wartość, jaką oznacza. Ponieważ podstawą wartości jest tu dobroć materyi, nieco drożéj ocenionéj, z powodu użycia jéj do robienia pieniędzy, panujący przeto nie mają żadnéj władzy do nadawania monecie cechy dowolnéj (5).

(*Dokończenie nastąpi*).

(1) Mikołaj Oresme, w. mistrz w kolegium w Nawarze, dziekan kapituły w Rouen, znany jest jako jeden z najuczeńszych ludzi we Francyi za czasów Karola V. Przetłumaczył na język francuzki etykę, politykę i ekonomią Arystotelesa i wiele dzieł łacińskich o astrologii, naukach przyrodzonych, fizyce, teologii i krasomówstwie. Sam także napisał po francuzku kilka prac przeciw wróżbiarstwu wogóle, a astrologii w szczególności, traktat o sferze, wreszcie dzieło którego tytuł powyżéj podaliśmy, a które świéżo wydane było w Paryżu u Gillaumin pod tytułem: Traictie de la prémière invention des monnoies de N. Oresme et Traité de la monnaie de Copernic, publiés et annotés par m. Louis Wołowski.“ Umarł w Lisieux 11 lipca 1382 r.

(2) Communication faite par M. Guillaume Roscher à l'Institut de France, str. XXVI w dziele Wołowskiego powyżéj wzmiankowaném.

(3) Gabryel Biel ze Spiry, magister teologii, był profesorem uniwersytetu w Tübindze od 1485, a rektorem od roku 1489. Umarł 1495 r., wstąpiwszy piérwéj do zakonu „Braci komunistów.“ Oprócz traktatu o monecie, zostawił po sobie *Collectorium sententiarum*, w którém rozwinął różne ekonomiczne teorye, jak na przykład o procencie, o wartości i cenie pracy, zasług, o własności etc.

(4) Oto są słowa Kopernika w tym względzie: Zwyczajem jest domieszywać miedź do monet, zwłaszcza srébrnych, jak mniemam, dla dwoistéj przyczyny: najprzód aby mniéj była wystawioną na wykupywanie i przetapianie, coby nastąpiło, gdyby się z czystego srébra składała; powtóre aby masa srébra, na małe podzielona części, wraz miedzią przyzwoitą zachowała wielkość; i potrzecie dodaćby można, że moneta która się ciągłym obiegiem wyciéra, przez przymieszanie miedzi większéj nabiéra trwałości.“

(5) Oto co pisze Kopernik: „Przez tę stałą ilość czyli miarę rozumiem cenę czyli wartość imienną monety, która lubo od dobroci materyału zależy, trzeba jednakże wartość wewnętrzną od naznaczonéj ceny rozróżniać, moneta bowiem może być więcéj cenioną, aniżeli materyał z którego się składa, i przeciwnie.“

KONIEC KWARTAŁU TRZECIEGO.

Nakładem i drukiem J. Ungra, Warszawa, ulica Nowolipki, nr 2406.—Дозволено Цензурою. Варшава, 17 Сентября 1876 г.—Redaktor **L. Jenike**,

Redakcya w Warszawie, przy ulicy Nowolipki, w domu Józefa Ungra, nr. 2406 (nowy 3).